



LEW TOŁSTOJ

Anna Karenina

*Anna
Karenina*

LEW TOŁSTOJ

Anna Karenina

Przekład: J. Wołowski



Tytuł oryginału: ***Анна Каренина***

Przekład: **J. Wołowski**

Opracowanie i korekta tekstu na podstawie tłumaczenia J. Wołowskiego:

Anna Smutkiewicz

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce | Dreamstime.com: © Yarkovoy, © Mihai Olaru,

© Olga Lepeshkina, © Mangpor2004, © Kozyrina

© Copyright for the text, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021

Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN 978-83-8222-564-8

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA7	XXVIII232	XXI474	XXV712
I.....7	XXIX236	XXII.....478	XXVI715
II.....9	XXX240	XXIII483	XXVII.....719
III.....12	XXXI243	CZEŚĆ PIĄTA487	XXVIII721
IV.....16	XXXII246	I.....487	XXIX725
V.....21	XXXIII251	II.....493	XXX729
VI.....29	XXXIV255	III.....498	XXXI734
VII.....31	XXXV261	IV.....501	XXXII.....737
VIII.....33	CZEŚĆ TRZECIA267	V.....506	CZEŚĆ SIÓDMA743
IX.....35	I.....267	VI.....509	I.....743
X.....41	II.....270	VII.....510	II.....746
XI.....48	III.....273	VIII.....515	III.....750
XII.....52	IV.....278	IX.....518	IV.....755
XIII.....55	V.....283	X.....521	V.....758
XIV.....58	VI.....287	XI.....524	VI.....760
XV.....64	VII.....290	XII.....529	VII.....762
XVI.....66	VIII.....294	XIII.....531	VIII.....766
XVII.....68	IX.....298	XIV.....534	IX.....769
XVIII.....71	X.....301	XV.....538	X.....772
XIX.....76	XI.....305	XVI.....542	XI.....776
XX.....82	XII.....308	XVII.....545	XII.....779
XXI.....86	XIII.....311	XVIII.....549	XIII.....782
XXII.....88	XIV.....317	XIX.....552	XIV.....785
XXIII.....92	XV.....321	XX.....555	XV.....790
XXIV.....96	XVI.....325	XXI.....562	XVI.....792
XXV.....100	XVII.....329	XXII.....566	XVII.....795
XXVI.....105	XVIII.....334	XXIII.....570	XVIII.....799
XXVII.....108	XIX.....338	XIV.....572	XIX.....802
XXVIII.....110	XX.....341	XXV.....577	XX.....804
XXIX.....113	XXI.....344	XXVI.....580	XXI.....808
XXX.....116	XXII.....350	XXVII.....583	XXII.....814
XXXI.....119	XXIII.....355	XXVIII.....587	XXIII.....816
XXXII.....122	XXIV.....358	XXIX.....591	XXIV.....819
XXXIII.....124	XXV.....362	XXX.....595	XXV.....824
XXXIV.....128	XXVI.....365	XXXI.....598	XXVI.....829
CZEŚĆ DRUGA133	XXVII.....369	XXXII.....602	XXVII.....833
I.....133	XXVIII.....375	XXXIII.....605	XXVIII.....836
II.....136	XXIX.....380	CZEŚĆ SZÓSTA613	XXIX.....840
III.....140	XXX.....384	I.....613	XXX.....842
IV.....143	XXXI.....387	II.....616	XXXI.....845
V.....146	XXXII.....391	III.....621	CZEŚĆ ÓSMA851
VI.....150	CZEŚĆ CZWARTA395	IV.....625	I.....851
VII.....154	I.....395	V.....627	II.....855
VIII.....160	II.....397	VI.....630	III.....858
IX.....163	III.....399	VII.....634	IV.....861
X.....167	IV.....405	VIII.....640	V.....863
XI.....168	V.....409	IX.....643	VI.....865
XII.....169	VI.....414	X.....647	VII.....868
XIII.....172	VII.....417	XI.....651	VIII.....870
XIV.....178	VIII.....421	XII.....657	IX.....872
XV.....182	IX.....425	XIII.....661	X.....874
XVI.....185	X.....431	XIV.....663	XI.....876
XVII.....189	XI.....435	XV.....667	XII.....879
XVIII.....194	XII.....437	XVI.....672	XIII.....882
XIX.....196	XIII.....441	XVII.....676	XIV.....885
XX.....199	XIV.....445	XVIII.....680	XV.....889
XXI.....202	XV.....449	XIX.....684	XVI.....892
XXII.....206	XVI.....452	XX.....688	XVII.....896
XXIII.....211	XVII.....456	XXI.....693	XVIII.....898
XXIV.....214	XVIII.....463	XXII.....697	XIX.....901
XXV.....220	XIX.....466	XXIII.....704	
XXVI.....224	XX.....472	XXIV.....708	
XXVII.....229			

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Wszystkie szczęśliwe rodziny podobne są do siebie, każda zaś nieszczęśliwa jest nieszczęśliwą po swojemu.

W domu Obłońskich zapanował nieład. Żona dowiedziała się o stosunkach męża z francuską guwernantką i powiedziała mu, że nie może mieszkać z nim dłużej. Stan ten, trwający już trzeci dzień, dawał się we znaki i samym małżonkom, i wszystkim członkom rodziny, i domownikom, gdyż wszyscy widzieli, że wspólne ich mieszkanie nie ma przed sobą żadnego celu i że ludzie, którzy przypadkowo zeszli się w pierwszym lepszym zajeździe, więcej mają ze sobą wspólnego niż oni, członkowie rodziny i domownicy Obłońskich. Żona nie wychodziła ze swego pokoju, mąż już od trzech dni nie był w domu. Dzieci biegały po całym mieszkaniu; Angielka pokłóciła się z szafarką i napisała do swej przyjaciółki, prosząc ją o znalezienie jej nowego miejsca; kucharz odszedł jeszcze poprzedniego dnia w czasie obiadu; pomywaczka i stangret również chcieli porzucić służbę.

Na trzeci dzień po zajściu książę Stiepan Arkadiewicz Obłoński — Stiwa, jak go nazywano powszechnie — rano, jak zwykle o ósmej, obudził się nie w sypialni żony, lecz w swoim gabinecie, na safianowej kanapie. Ocknąwszy się, poruszył swe pełne, wypieszczone ciało na sprężynach kanapy, jakby miał zamiar znów zasnąć na czas dłuższy, przytulił twarz do poduszki, lecz nagle prędkim ruchem siadł na kanapie i otworzył oczy.

„Tak, tak, jak to było? — myślał, starając się przypomnieć sen. — Tak, jak to było? Tak! Alabin wydawał obiad w Darmsztadcie; nie, nie w Darmstadtacie, ale gdzieś w Ameryce. Tam, lecz tam Darmsztadt był w Ameryce.

Tak, Alabin wydawał obiad na szklanych stołach i stoły te śpiewały *Il mio tesoro*, i nie *Il mio tesoro*, ale coś ładniejszego, i jakieś karafeczki, które były zarazem kobietami” — przypominał sobie Obłoński.

Stiepan Arkadiewicz mrugnął wesoło oczyma i z uśmiechem na ustach zamyślił się. — Tak dobrze tam było, bardzo dobrze. Było tam tyle wspa-
niałych rzeczy, że nie dadzą się słowami wypowiedzieć, a na jawie nawet wyobrazić sobie ich nie można. — Zauważywszy pasmo światła, przenikające do pokoju przez niezupełnie szczelnie zasłonięte sukienną roletą okno, Stiepan Arkadiewicz z uśmiechem spuścił nogi z kanapy, włożył je w haftowane przez żonę pantofle; dostał je od niej w przeszłym roku na imieniny, obszyte złocistym safianem, i idąc za dawnym dziewięcioletnim przyzwyczajeniem, wyciągnął rękę ku miejscu, gdzie w sypialni żony wisiał zawsze jego szlafrok. W tej chwili Stiepan Arkadiewicz przypomniał sobie nagle, dlaczego nie śpi w pokoju żony, lecz w swoim gabinecie; przestał się uśmiechać i zmarszczył czoło.

— Ach, a! a!... — mruknął, przypominając sobie wszystko, co zaszło. I przed wyobraźnią jego stanęły znów wszystkie szczegóły nieporozumienia z żoną, całe jego położenie bez wyjścia — i co najbardziej go męczyło — cała wina jego.

„Tak! Ona nie przebaczy i nie może przebaczyć. Co najgorsze jednak, że cała wina spada na mnie, a jednak nie jestem winien. W tym też leży cały dramat” — myślał. — Ach! ach!... — wzdychał Stiepan Arkadiewicz z rozpaczą, przypominając sobie najprzykrzejsze swe wrażenie z całego tego zajścia.

Najprzykrzejsza była dla niego ta pierwsza chwila, kiedy wróciwszy z teatru w dobrym humorze i zadowolony, z ogromną gruszką dla żony w rękę, nie zastał jej w salonie, nie zastał również i w gabinecie, aż odnalazł ją w końcu w sypialni, nieszczęśliwą, trzymającą w rękę list, z którego dowiedziała się o wszystkim.

Ona, ta wiecznie zajęta i niezbyt bystra, jak mu się zdawało, Dolly, siedziała nieruchomo z listem w rękę i oczyma pełnymi przerażenia, rozpacz i gniewu patrzyła na męża.

— Co to? Co to takiego? — pytała, pokazując list.

I przypominając sobie wszystko, dla Stiepana Arkadiewicza, jak to często bywa, nie tyle było przykre samo zajście, ile odpowiedź, jaką dał żonie.

Ze Stiepanem Arkadiewiczem zdarzyło się to, co się często zdarza ludziom, gdy im się niespodziewanie udowodni jakiś hańbiący ich bardzo postępek: nie potrafił nadać swej twarzy wyrazu, jakiego wymagało położe-

nie jego wobec żony. Zamiast obrazić się, zapierać, prosić o przebaczenie, nic sobie nawet z tego nie robić, wszystko to byłoby daleko lepsze od tego, co on zrobił, na twarzy jego najzupełniej mimo woli (refleksy mózgu, pomysłał Stiepan Arkadiewicz, gdyż lubił bawić się w fizjologię) pojawił się jego zwykły, pocziwy i dlatego też głupi uśmiech.

Tego głupiego uśmiechu Stiepan Arkadiewicz nie mógł sobie darować. Zobaczywszy ten uśmiech, Dolly drgnęła cała jakby z bólu fizycznego i ze zwykłą swą gwałtownością wybuchnęła potokiem gwałtownych wymówek i wybiegła z pokoju; od tej chwili nie chciała widzieć się z mężem.

„Wszystkiemu winien ten głupi uśmiech” — myślał Stiepan Arkadiewicz. — Lecz co robić? Co robić? — z rozpaczą powtarzał i nie mógł znaleźć odpowiedzi.

II

Stiepan Arkadiewicz należał do tych ludzi, którzy nie tają przed sobą prawdy, nie mógł oszukiwać się i wmawiać sam sobie, że żałuje swego postępku, nie mógł też teraz czuć wyrzutów sumienia, że on, trzydziestoczteroletni mężczyzna nie był zakochany w żonie, matce pięciorga żywych i dwojga zmarłych dzieci, w kobiecie o rok tylko młodszej od niego, lecz pomimo to czuł cały ciężar swego położenia i żałował żony, dzieci i siebie; potrafiłby też lepiej taić swoje postęпки przed żoną, gdyby wiedział, że wiadomość o nich tak fatalnie na nią podziała; nigdy nie zastanawiał się głębiej nad tą kwestią, lecz jakoś zdawało mu się, że żona od dawna domyśla się, że nie jest jej wierny, i że patrzy na to przez palce. Stiepanowi Arkadiewiczowi zdawało się nawet, że wyczerpana, postarzała przed czasem, nieładna już kobieta, niczym niewyróżniająca się, tylko dobra matka rodziny, powinna być pobłażliwa dla niego z samego poczucia sprawiedliwości. Tymczasem okazało się, że tak nie jest.

— Straszna, straszna historia! — powtarzał Stiepan Arkadiewicz i nie mógł nic wymyślić. — A tak dobrze szło wszystko do tego czasu, tacy byliśmy szczęśliwi! Ona była zadowolona i szczęśliwa dzięki dzieciom, ja nie

przeszkadzałem jej w niczym, pozwalając zajmować się domem i dziećmi, jak chciała. Co prawda to niedobrze, że tamta była guwernantką w naszym domu, stanowczo niedobrze, gdyż jest coś pospolitego, trywialnego w romansie ze swą guwernantką. Ale z jaką guwernantką! (Stiepan Arkadiewicz przypominał sobie z przyjemnością czarne żywe oczy Mlle Roland i jej uśmiech). Lecz póki ona była w naszym domu, nie pozwalałem sobie na nic. A najgorzej, że ona już... zupełnie jakby naumyślnie... Lecz co robić? Co robić?...

I Stiepan Arkadiewicz nie mógł dać sobie żadnej odpowiedzi, prócz tej ogólnej, którą daje życie na wszystkie najbardziej zawiłe i najtrudniejsze do rozwiązania pytania. Odpowiedź ta brzmi: trzeba żyć chwilą, czyli zapomnieć się. Lecz szukać zapomnienia tego we śnie nie można, przynajmniej przed nastąpieniem nocy nie można już wrócić do tej muzyki, którą wygrywały kobiety-karafeczki, trzeba zatem zapomnieć się we śnie życia.

„Potem to się wszystko okaże” — pomyślał Stiepan Arkadiewicz, wstał, naciągnął szary szlafrok o jedwabnej niebieskiej podszewce i odetchnąwszy głęboko, zwykłym prędkim krokiem swych ładnie zbudowanych nóg, które z taką łatwością unosiły jego pełne ciało, podszedł do okna, podniósł roletę i głośno zadzwonił. Na odgłos dzwonka wszedł natychmiast stary przyjaciel, kamerdyner Mateusz, niosąc ubranie, obuwie i depezę. Zaraz za Mateuszem wszedł golibroda z przyborami do golenia.

— Czy są papiery z biura? — zapytał Stiepan Arkadiewicz, biorąc depezę i siadając przed lustrem.

— Leżą na stole — odpowiedział Mateusz, patrząc ze współczuciem na swego pana, i po chwili dodał z chytrym uśmiechem: — Właściciel remizy przysłał.

Stiepan Arkadiewicz nic nie odpowiedział i tylko w lustrze popatrzył na Mateusza; ze spojrzeń ich, które spotkały się, widać było, że zrozumieli się nawzajem. Stiepan Arkadiewicz zdawał się pytać spojrzeniem: „Po co ty mi to mówisz? Wiesz przecież sam!”.

Mateusz włożył ręce w kieszenie marynarki i nic nie mówiąc, dobrodusznie, z zaledwie dostrzegalnym uśmiechem popatrzył na swego pana.

— Kazałem przyjść w niedzielę i zapowiedziałem, żeby do niedzieli nie trudzili ani pana, ani siebie — mówił dalej Mateusz, powtarzając z góry już widocznie przygotowane zdanie.

Stiepan Arkadiewicz domyślił się, że Mateusz chce tylko porozmawiać i zwrócić na siebie jego uwagę. Otworzył depezę, przeczytał ją, poprawiając w myśli poprzekęcane jak zwykle wyrazy, i twarz jego się rozjaśniła.

— Mateuszu, siostra moja Anna Arkadiwna przyjeżdża jutro — odezwał się, wstrzymując na chwilę błyszczącą pulchną rękę golibrody, który wygałał mu różową drożkę na podbródku, między długimi, gęstymi bokobrodami.

— Dzięki Bogu — rzekł Mateusz, dając do zrozumienia tą odpowiedzią, że on również, jak i pan jego, rozumie znaczenie tego przyjazdu, to jest że Anna Arkadiwna, ukochana siostra Stiepana Arkadiwicz, może pomóc w pogodzeniu się męża z żoną.

— Sama czy z małżonkiem? — zapytał Mateusz.

Stiepan Arkadiwicz nie mógł mówić, gdyż golibroda robił coś właśnie koło jego górnej wargi, podniósł tylko jeden palec do góry.

Mateusz w lustrze kiwnął głową.

— Sama. Czy na górze przygotować?

— Zapytaj Darię Aleksandrownę, gdzie ona rozkaże.

— Darię Aleksandrownę?... — jakby z powątpiewaniem powtórzył Mateusz.

— Tak, powiedz jej. Weź tę depeszę, oddaj jej i spytaj się, jakie wyda polecenia. „Chcesz spróbować!” — pomyślał Mateusz, lecz odpowiedział tylko: — Słucham.

Stiepan Arkadiwicz już się umył, uczesał i zaczynał się już ubierać, gdy Mateusz, stąpając powoli skrzypiącymi butami, z depeszą w ręku, wszedł do pokoju. Golibrody już nie było.

— Daria Aleksandrowna kazała powiedzieć, że wyjeżdża. Niech robią, jak się panu podoba — rzekł, śmiejąc się oczyma, i włożywszy ręce w kieszenie, przechylił głowę na bok i zaczął się przyglądać swemu panu.

Stiepan Arkadiwicz na razie nic nie odpowiedział, dopiero po chwili na ładnej jego twarzy pokazał się uśmiech, w którym odbijała się dobroć i smutek.

— No i cóż, Mateuszu? — zapytał, kiwając głową.

— E, jakoś to będzie, panie! — odpowiedział Mateusz.

— Jakoś to będzie?

— Ma się rozumieć!

— Tak myślisz? A tam kto? — zapytał Stiepan Arkadiwicz, usłyszawszy za drzwiami szelest kobiecego ubrania.

— To ja — odezwał się twardy, lecz przyjemny głos kobiecy i zza drzwi wysunęła się surowa ospowata twarz niańki Matrieny Filimonowny.

— Cóż tam takiego, Matrieno? — zapytał Stiepan Arkadiwicz, podchodząc do niej.

Pomimo że cała wina leżała po stronie Stiepana Arkadiewicza i że on sam przyznawał to, wszyscy w domu, nawet niańka, główna przyjaciółka Darii Aleksandrowny, trzymali jego stronę.

— Cóż tam takiego? — powtórzył niechętnie.

— Idź pan jeszcze raz przepraszać. Jak Bóg da. Męczy się biedaczka, tak że aż żal bierze patrzeć na nią, o, i w domu wszystko do góry nogami. Zlituj się nad dziećmi, panie. Niech pan przeprosi. Cóż robić...

— Kiedy mnie nie przyjmie...

— Ty, panie, w każdym razie zrób swoje. Pan Bóg jest miłosierny, do Niego módl się, panie, do Niego.

— No dobrze, idźcie już, Matrieno — odpowiedział Stiepan Arkadiewicz, oblewając się rumieńcem. — Podaj ubranie — zwrócił się do Mateusza i energicznym ruchem zdjął z siebie szlafrok.

Mateusz trzymał już przygotowaną koszulę i z widoczną przyjemnością włożył ją na pulchne i starannie pielęgnowane ciało swego pana.

III

Skończywszy się ubierać, Stiepan Arkadiewicz skropił tużurek perfumami, poprawił mankiety i kołnierzyk, zręcznie porozmieszczał po kieszeniach papierosy, pugilares, zapalki, zegarek z podwójną złotą dewizką i brelokami, zmiął w rękę chustkę i czując się czysty, zdrowy i wesoły pomimo swego nieszczęścia, wyszedł, kołysząc się z lekka na nogach, do jadalnego pokoju, gdzie już czekała na niego kawa, a obok niej listy i papiery z biura.

Stiepan Arkadiewicz wziął się do czytania listów. Jeden z nich był bardzo nieprzyjemny, od kupca, który chciał nabyć las w majątku żony. Las ten trzeba było koniecznie sprzedać, lecz chwilowo, do czasu pogodzenia się z żoną, nie mogło o tym być mowy; najnieprzyjemniejsza zaś była ta okoliczność, że na pogodzenie się z żoną wpływał pieniężny interes. Myśl, że kierując się interesem i chcąc sprzedać las, stara się o przebaczenie żony, obrażała Stiepana Arkadiewicza.

Przeczytawszy listy, przysunął ku sobie papiery biurowe, prędko przejrzał dwie sprawy, dużym ołówkiem robiąc na nich parę uwag, i zaczął pić kawę. Popijając wolno kawę z filiżanki, Stiepan Arkadiewicz rozwinął wilgotną jeszcze poranną gazetę i z uwagą oddał się jej czytaniu.

Stiepan Arkadiewicz prenumerował i czytywał liberalną gazetę, niezbyt skrajną, lecz takiego kierunku, jakiego trzymała się większość. I pomimo że ani nauka, ani sztuka, ani polityka nie interesowały go właściwie, jednak w tych rzeczach trzymał się stale poglądów, których trzymała się większość i jego dziennik, i poglądy te zmieniał tylko wtedy, gdy zmieniała je większość; zresztą nie on je zmieniał, one same zmieniały się w nim powoli.

Stiepan Arkadiewicz nie wybierał ani kierunków, ani poglądów, lecz te kierunki i poglądy same przychodziły do niego, zupełnie tak samo, jak nie wybierał fasonu kapelusza lub kroju surduta, lecz używał tych, które wszyscy nosili. Mieć zaś pewne poglądy dla niego, obracającego się w pewnych sferach, odczuwającego potrzebę pewnej działalności umysłowej, potrzebę rozwijającą się w latach dojrzałości, było tak samo konieczne, jak mieć kapelusz. Jeśli istniał jakikolwiek powód, dla którego kierunek postępowy bardziej mu przypadł do smaku niż konserwatywny, którego trzymało się również wiele osób z jego sfery, to powód ten nie leżał w tym, że Stiepan Arkadiewicz uważał kierunek postępowy za rozumniejszy, lecz w tym, że nadawał się bardziej do trybu życia Stiepana Arkadiewicza. Postępowa partia twierdziła, że w Rosji wszystko jest złe, i rzeczywiście Stiepan Arkadiewicz miał dużo długów, a pieniędzy stanowczo brakowało mu zawsze. Postępowa partia mówiła, że małżeństwo jest instytucją przestarzałą i że koniecznie należy ją przeinaczyć, i w rzeczywistości życie rodzinne dawało niezbyt wiele przyjemności Stiepanowi Arkadiewiczowi i zmuszało go do kłamstwa i wybiegów, tak wstrętnych jego usposobieniu. Postępowa partia mówiła, czy wyrażając się ściślej, kazała się domyślać, że religia jest niczym innym, jak tylko hamulcem dla barbarzyńskiej części ludności, i rzeczywiście Stiepan Arkadiewicz nie mógł wytrzymać bez bólu w nogach nawet niedługiego nabożeństwa i nie mógł zrozumieć, na co są potrzebne te wszystkie straszne i wzniosłe twierdzenia o tamtym świecie, kiedy jemu i na tym było bardzo wesoło. Jednocześnie Stiepanowi Arkadiewiczowi, lubiącemu pożartować, sprawiało przyjemność odezwać się czasami, że jeśli ktoś pyszni się swym pochodzeniem, to nie powinien zatrzymywać się na Ruryku i wyrzekać się protoplasty swego, małpy. W taki sposób kierunek

postępowy stał się nałogiem Stiepana Arkadiewicza, który lubił swój dziennik jak cygaro po obiedzie za ten lekki zawrót głowy, jaki mu sprawiały jego teorie. I dzisiaj ze zwykłą przyjemnością przeczytał artykuł wstępny, dowodzący, że za naszych czasów zupełnie bez powodu powstaje krzyk, jakoby radykalizm zagrażał pochłonięciem konserwatywnych elementów i jakoby rząd zobowiązany był przedsięwziąć środki ku zdławieniu hydry rewolucjonizmu, gdyż w przeciwnym razie — zdaniem pisma — niebezpieczeństwo tkwi nie w mniemanej hydrze rewolucyjnej, a w uporze tradycji, hamującej prawdziwy postęp i tak dalej. Stiepan Arkadiewicz przeczytał też i drugi artykuł, o treści ekonomicznej, w którym była mowa o Beutamie i Millu i w którym odzywano się z przekąsem o ministerstwie. Z wrodzoną sobie bystrością Stiepan Arkadiewicz pojmował znaczenie każdego przekąsu, przez kogo, pod czym adresem i z jakiego powodu był wypowiedziany, i jak zwykle sprawiało mu to pewną przyjemność. Lecz dzisiaj przyjemność tę zatruwało wspomnienie o radach Matrieny Filimonowny i o tym, że w domu nie wszystko idzie najlepiej. Przeczytał też i o tym, że hrabia Beust wyjechał podobno do Wiesbaden, i o tym, że nie ma już więcej na świecie siwych włosów, i o sprzedaży karety, lecz wiadomości te nie dostarczyły mu zwykłego ironicznego zadowolenia.

Skończywszy gazetę, drugą filiżankę kawy i kołacz z masłem, Stiepan Arkadiewicz wstał od stołu, strzepnął okruchy kołacza z kamizelki i odetchnąwszy, uśmiechnął się wesoło, nie dlatego, żeby nie miał nic przykrego na myśli — wesoły uśmiech wywołało dobre trawienie. Lecz wesoły ten uśmiech zaraz przypomniał mu o wszystkim i Stiepan Arkadiewicz się zamyślił.

Dwa głosy dziecinne — ojciec poznał głos Griszy, młodszego syna, i Tani, starszej córeczki — dały się słyszeć za drzwiami. Dzieci coś niosły i upuściły.

— Mówiłam, że na dach nie można sadzać pasażerów — krzyczała po angielsku dziewczynka. — Masz, zbieraj teraz!

„Wszystko idzie do góry nogami — pomyślał Stiepan Arkadiewicz. — Dzieci same biegają”.

Podszedłszy do drzwi, zawołał je. Dzieci postawiły szkatułkę, która miała przedstawiać powóz, i przybiegły do ojca.

Dziewczynka, jego ulubienica, wbiegła śmiało, objęła ojca za szyję i śmiejąc się, zawisła na niej, ciesząc się jak zawsze ze znanego sobie zapachu perfum, który się rozprzestrzeniał od ojcowskich bokobrodów. Pocałował-

szy go w końcu w zaczerwienioną od pochyłego położenia twarz, na której w tej chwili odbijała się miłość ojcowska, dziewczynka zabrała ręce i chciała biec z powrotem, lecz ojciec zatrzymał ją.

— Jak tam mamusia? — zapytał, gładząc delikatną szyjkę dziewczynki. — Jak się masz? — rzekł, uśmiechając się do witającego się z nim chłopca.

Stiepan Arkadiewicz wiedział o tym dobrze, że mniej kocha chłopca. Zawsze starał się być jednakowy dla dzieci, lecz chłopczyk zawsze odczuwał to i nie odpowiedział uśmiechem na oziębły uśmiech ojca.

— Mama? Wstała... — odpowiedziała dziewczynka.

Stiepan Arkadiewicz westchnął.

Znów więc nie spała całą noc.

— Cóż, czy wesoła?

Dziewczynka wiedziała, że ojciec poróżnił się z matką i że matka nie mogła być wesoła, a ojciec powinien wiedzieć o tym i że tylko udaje, pytając o to z takim lekceważeniem. Zarumieniła się więc za ojca, który natychmiast zrozumiał to i także się zarumienił.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Mama nie kazała się uczyć, ale kazała iść na spacer z miss Hull do babci.

— No więc idź, Taniusiu moja. Poczekaj tylko małą chwilkę — odrzekł ojciec, przytrzymując ją i gładząc po delikatnej rączce, po czym zdjął z kominka postawione tam wczoraj pudełko z cukierkami i dał jej dwa, które najbardziej lubiła: czekoladkę i pomadkę.

— Dla Grisy? — zapytała dziewczynka, pokazując na czekoladkę.

— Tak, tak... — I pogłaskawszy ją jeszcze po obnażonej szyjce, Stiepan Arkadiewicz pocałował córkę we włosy i pozwolił odejść.

— Karetą czeka — zameldował Mateusz. — I jakaś kobieta z prośbą — dodał po chwili.

— Czy długo już czeka? — zapytał Stiepan Arkadiewicz.

— Z pół godzinki.

— Mówiłem ci już tyle razy, żeby natychmiast meldować.

— Muszę przecież dać panu czas wypić kawę — odpowiedział Mateusz tym przyjacielsko-hardym tonem, na który gniewać się niepodobna.

— Proś więc prędzej — rzekł Obłóński, marszcząc się z niezadowoleniem.

Prosząca, żona sztabkapitana Kalinina, podawała prośbę bezsensowną, której w żaden sposób nie można było zadośćuczynić, lecz Stiepan Arkadiewicz swym zwyczajem posadził ją, wysłuchał bez przerywania całego jej

opowiadania, udzielił jej szczegółowej rady, do kogo i w jaki sposób ma się zwrócić i nawet napisał jej swym rozwlekłym, pięknym, wyraźnym pismem bilecik do jednego ze swych znajomych, który mógł jej trochę dopomóc. Gdy sztabskapitanowa odeszła, Stiepan Arkadiewicz wziął kapelusz i zatrzymawszy się na progu, zaczął sobie przypominać, czy nie zapomniał o czymś. Okazało się, że nie zapomniał o niczym, prócz tego, że chciał zapomnieć o żonie.

„Ach, tak!” — Opuścił głowę i piękna twarz jego przyjęła wyraz smutku. „Iść czy nie iść” — mówił sam do siebie. I wewnętrzny głos mówił mu, że iść nie ma potrzeby, że prócz fałszu nic z tego nie wyniknie, że nie ma sposobu, aby poprawić ich stosunek, gdyż nie sposób uczynić ją znowu pociągającą i wzbudzającą miłość lub jego zrobić starcem niezdolnym do kochania. Nic więcej nie mogło wyjść z tego prócz kłamstwa i fałszu, a kłamstwem i fałszem Stiepan Arkadiewicz się brzydził.

„Przecież kiedyś potrzeba to zrobić, gdyż nie może tak być zawsze” — pomyślał Stiepan Arkadiewicz, starając się dodać sobie odwagi, po czym wyprostował się, wyjął papierosa, zapalił, pociągnął dwa razy i rzucił go w popielniczkę z masy perłowej, w kształcie muszli, po czym prędkim krokiem przeszedł salon i otworzył drugie drzwi do sypialni żony.

IV

Daria Aleksandrowna w białym kaftanie i ze spiętym na tyle głowy warkoczem rzadkich już, lecz kiedyś gęstych i przepyszných włosów, z osuniętą, chudą twarzą i z dużymi oczyma, w których malował się przestrach, stała pośród porozrzucanych po pokoju rzeczy, koło otwartej komody, w której czegoś przed chwilą szukała. Usłyszawszy kroki męża, odwróciła głowę, patrząc na drzwi, i na próżno starając się nadać twarzy surowy i pogardliwy wyraz, czuła mimo woli, że boi się i jego, i mającego nastąpić spotkania. Przed chwilą chciała zrobić to, co chciała już zrobić dziesięć razy w ciągu tych trzech dni: odłożyć rzeczy swoje i dzieci, które chciała zabrać ze sobą do matki, i znowu nie mogła zdecydować

się na to. Teraz, tak jak poprzednio, mówiła sobie, że stan taki dłużej trwać nie może, że powinna coś przedsięwziąć, ukarać, zawstydzić go, odpłacić mu choć małą częścią tego bólu, który on jej zadał. Wciąż jeszcze mówiła, że odejdzie od niego, lecz czuła, że to jest niemożliwe, gdyż nie mogła odwyknąć ani od uważania go za swego męża, ani od kochania go. Oprócz tego czuła, że jeśli tutaj, w swoim własnym domu, zaledwie dawała sobie radę z pięciorgiem dzieci, to i jej, i dzieciom będzie jeszcze gorzej wszędzie, dokąd ona razem z nimi wszystkimi się przeniesie. I tak już w ciągu tych trzech dni najmłodszy zachorował, gdyż nakarmiono go złym rosołem, a reszta: wczoraj prawie nie jadła obiadu. Dolly uznawała, że porzucić domu mężowskiego w żaden sposób nie można, lecz wciąż oszukiwała samą siebie, układając rzeczy i udając, że odjeżdża.

Ujrawszy męża, Dolly zapuściła znów ręce w komodę, udając, że czegoś szuka, i obejrzała się na niego dopiero wtedy, gdy Stiepan Arkadiewicz już zupełnie podszedł ku niej. Jednak jej twarz, której chciała nadać stanowczy i surowy wyraz, zdradzała przestrah i cierpienie.

— Dolly! — odezwał się mąż cichym i bojaźliwym głosem, wsunawszy głowę między ramiona i starając się nadać sobie wzbudzający politowanie i pokorny wygląd, lecz mimo to twarz jego jaśniała świeżością i zdrowiem. Dolly jednym spojrzeniem obrzuciła od głowy do nóg jaśniejącą zdrowiem i świeżością postać męża. „Tak, on jest szczęśliwy i zadowolony! — pomyślała. — A ja?... I ta wstrętna dobroć, za którą wszyscy go tak lubią i chwala, ja nienawidzę go za tę właśnie dobroć” — pomyślała i zacięła usta, przy czym mięśnie prawego policzka zaczęły jej drgać.

— Co panu potrzeba? — odezwała się prędkim, nieswoim, pierśowym głosem.

— Dolly! — powtórzył Stiepan Arkadiewicz drżącym głosem. — Anna przyjedzie dzisiaj.

— Cóż mnie to obchodzi? Ja jej nie mogę przyjmować — zawołała.

— Lecz przecież trzeba, Dolly...

— Proszę stąd odejść — krzyknęła, nie patrząc na męża, i zdawało się, że krzyk ten spowodowany jest przez fizyczny ból.

Stiepan Arkadiewicz mógł być spokojny, gdy myślał o żonie, mogło mu się zdawać, że „jakoś to będzie”, jak się wyrażał Mateusz, i mógł spokojnie czytać gazetę i pić kawę, lecz gdy zobaczył jej zmęczoną, zbolalą twarz, gdy usłyszał jej głos, w którym słyszeć się dawało poddanie się losowi i rozpacz, coś go ścisnęło w gardle i w oczach stanęły łzy.

— Mój Boże! Co ja narobiłem! Dolly! Na miłość Boga!... Przecież... — Nie mógł mówić więcej, łkanie ścisnęło mu gardło.

Dolly zamknęła szufladę i spojrzała na męża.

— Dolly, cóż ja mogę powiedzieć?... Chyba to tylko, abyś mi przebaczyła... Zważ tylko sama, czy dziewięć lat pożycia nie może okupić chwili, chwili...

Ona spuściła oczy i słuchała, co on jej powie, i zdawała się błagać go, aby ją w jakiś sposób przekonał.

— Chwili zapomnienia... — wymówił Stiepan Arkadiewicz i chciał mówić dalej, lecz usłyszawszy ten wyraz, Dolly znów zacisnęła wargi jakby z bólu fizycznego i mięsień prawego policzka znów jej drgać począł.

— Proszę wyjść, proszę wyjść stąd!... — krzyknęła jeszcze przeraźliwiej. — I proszę mi nie mówić nic więcej o swych chwilach zapomnienia i o swych...

Chciała wyjść, lecz potknęła się i musiała uchwycić za poręcz krzesła, żeby nie upaść. Twarz jej rozszerzyła się, wargi nadęły, a oczy napęłniły się łzami.

— Dolly — odezwał się znowu mąż, który już płakał. — Na miłość boską, pomyśl o dzieciach, one przecież nic nie zawiniły! Ja jestem winien, mnie ukarz, każ mi odkupić moją winę, gotów jestem uczynić wszystko, co tylko będę mógł. Winien jestem, wiem o tym i wyrazić nawet nie mogę w jakim stopniu! No, Dolly, przebac mi!

Dolly usiadła. Stiepan Arkadiewicz słyszał jej głośny i ciężki oddech i żał mu jej było niewypowiedzianie. Parę razy chciała zacząć mówić, lecz nie mogła; on czekał.

— Ty pamiętasz o dzieciach, żeby bawić się z nimi, a ja pamiętam na prawdę i wiem, że one zmarnują się teraz — odrzekła i widać było, że powtórzyła jedno z tych zdań, które w ciągu tych trzech dni nieraz musiała mówić sama do siebie.

Powiedziała mu „ty” i on, z wdzięcznością spojrzawszy na nią, chciał się zbliżyć i ująć ją za rękę, lecz ona ze wstrętem odsunęła się od niego.

— Ja pamiętam o dzieciach i dlatego wszystko, co tylko będę mogła uczynić, uczynię, żeby je ratować; lecz sama jeszcze nie wiem, jak postąpię, gdyż nie wiem, w jakim razie mam je uważać za uratowane: czy wtedy, gdy wywiozę je od ojca, czy też wtedy, gdy zostawię je z przewrotnym, tak, z przewrotnym ojcem... Powiedz pan sam, czy po tym, co

zaszło, możemy żyć razem? Czy to byłoby możliwe? Sam pan powiedz, czy to byłoby możliwe? — powtarzała, podnosząc głos. — Po tym, jak mój mąż, ojciec mych dzieci, nawiązuje stosunek miłosny z guwernantką swych dzieci...

— Więc cóż robić? Cóż robić? — powtarzał smutnie, sam nie wiedząc, co mówi, i coraz niżej i niżej pochylając głowę.

— Wzbudzasz pan we mnie wstręt i obrzydzenie — zawołała, gorączkując się coraz bardziej. — Pańskie łzy to woda! Nigdyś mnie pan nie kochał; nie ma w panu ani serca, ani szlachetności! Jesteś pan wstrętny dla mnie i obcy, tak, obcy zupełnie! — głosem pełnym bólu i uporu powtórzyła ten bolesny dla siebie wyraz „obcy”.

On patrzył na nią i upór, który odbijał się na jej twarzy, przeraził i zaskoczył go. Nie rozumiał tego, że współczucie, jakie okazywał, drażni ją, gdyż widziała w nim tylko litość nad sobą, a nie miłość. „Ona nienawidzi mnie i nie przebaczy mi” — pomyślał sobie.

Nagle w drugim pokoju zapłakało dziecko. Daria Aleksandrowna zaczęła się przysłuchiwać i twarz jej złagodniała.

Przez parę sekund zdawała się namyślać, jakby nie zdając sobie na razie sprawy, gdzie się znajduje i co ma robić, wreszcie wstała i skierowała się ku drzwiom.

„Kocha przecież moje dziecko...” — pomyślał Stiepan Arkadiewicz, zauważywszy zmianę, jaką krzyk dziecka wywołał na jej obliczu... „Moje dziecko, więc jakże może mnie nienawidzić?”

— Dolly, jeszcze jedno słowo — odezwał się, idąc za nią.

— Jeśli pan pójdziesz za mną, zawołam na służbę i na dzieci! Niech wszyscy wiedzą, żeś pan podły! Ja wyprowadzam się dzisiaj, a pan zostań tutaj razem ze swoją kochanką!

Powiedziawszy to, Daria Aleksandrowna wyszła i zatrzasnęła drzwi za sobą.

Stiepan Arkadiewicz westchnął, obtarł twarz i powoli wyszedł z pokoju. „Mateusz powiada, że jakoś to będzie, ale jak? Mnie nie zdaje się to możliwe. Ach, jakie to wszystko jest przykre i jak ona ordynarnie wykrzykiwała” — mówił sam do siebie, przypominając sobie krzyk żony i wyrazy „podły” i „kochanka”. „Dziewczynki zapewne słyszały! Strasznie ordynarnie!” Stiepan Arkadiewicz postął parę chwil, obtarł oczy i wyprostowawszy się, wyszedł z pokoju.

Był piątek i w jadalni stary zegarmistrz Niemiec nakręcał zegar. Stiepan Arkadiewicz przypomniawszy sobie swój żart o łysym zegarmistrzu, „że Niemiec sam był nakręcony na całe życie, aby nakręcać zegary”, i się uśmiechnął. Stiepan Arkadiewicz lubił dobry żart. „A może być, że jakoś to będzie! Niezłe powiedzenie: jakoś to będzie! — pomyślał. — Trzeba to będzie opowiedzieć komu”.

— Mateuszu! — zawołał. — Przygotujcie z Marią w gościnnym pokoju wszystko dla Anny Arkadiewny! — wydał polecenie Mateuszowi.

— Słucham.

Stiepan Arkadiewicz włożył futro i wyszedł na ganek.

— Czy pan będzie na obiedzie w domu? — zapytał Mateusz, wyprowadzając go.

— Nie wiem jeszcze. Weź na wydatki domowe — rzekł, wyjmując diecień rubli z pugilaresu. — Czy wystarczy?

— Musi wystarczyć — odpowiedział Mateusz, zatraskując drzwiczki od karety i cofając się ku gankowi.

Tymczasem Daria Aleksandrowna, uspokoiwszy dziecko i domyśliwszy się po turkocie karety, że mąż już odjechał, powróciła do sypialnego pokoju. Było to jedyne miejsce, w którym mogła zapomnieć o domowych kłopotach, a miała ich zawsze tyle na głowie, gdy tylko na chwilę wyszła. Już i teraz, w ciągu tych paru chwil spędzonych w dzieciennym pokoju, Angielka i Matriena Filimonowna zdążyły zadać jej parę pytań, na które z odpowiedzią nie można było zwlekać i na które tylko ona mogła dać odpowiedź. „Co włożyć dzieciom na spacer? Czy dać im mleka? Czy trzeba posłać po drugiego kucharza?”

— Ach! Dajcie mi święty spokój — odpowiedziała i wróciła do sypialni, gdzie siadła na tym samym miejscu, na którym siedziała podczas rozmowy z mężem. Załamała wychudzone ręce, z których kościstych palców opadały pierścionki, i zaczęła przypominać sobie niedawną rozmowę, jaką miała z mężem.

„Wyjechał, lecz co z tamtą robił? — myślała. — Czyżby ciągle jeszcze z nią się widywał? Nie, nie, przebaczyć mu nie mogę. Nawet jeśli pozostaniemy w jednym domu, będziemy sobie obcy, na zawsze obcy! — powtórzyła, kładąc znowu nacisk na ten straszny dla niej wyraz. A ja go tak kochałam, mój Boże, tak kochałam!... A czyż nie kocham go jeszcze i teraz?... Czyż nie kocham go jeszcze bardziej niż przedtem? A najbardziej mnie przestrasza...” Lecz nie miała czasu dokończyć, gdyż Matriena Filimonowna stanęła w drzwiach.

— Może pani każe posłać po mego brata? — zapytała. — On potrafi ugotować obiad. Bo znów, tak jak wczoraj, dzieci nie będą nic jadły aż do szóstej godziny.

— Dobrze, zaraz przyjdę i wydam polecenia. Czy poszedł ktoś po świeże mleko?

Daria Aleksandrowna oddała się cała codziennym sprawom i w nich ukoła ból swój na jakiś czas.

V

Stiepan Arkadiewicz w szkołach uczył się dobrze dzięki swym zdolnościom, lecz był leniwy i dokazywał, i dlatego też skończył je jako jeden z ostatnich uczniów. Jednak pomimo hulaszczego życia, niewysokiej rangi i dość młodych lat miał dość wybitną posadę naczelnika jednego z rosyjskich urzędów, do której była przywiązana znaczna pensja. Posadę tę dostał przez męża swej siostry Anny, Aleksieja Aleksandrowicza Karenina, zajmującego jedno z ważniejszych miejsc w ministerstwie, do którego należało biuro Obłońskiego. Gdyby jednak Karenin nie dał szwagrowi swemu tego miejsca, to za protekcją setki innych osób: braci, sióstr, krewnych, kuzynów, wujów i ciotek Stiepan Arkadiewicz byłby dostał tę posadę lub inną z sześcioma tysiącami rubli pensji, które mu były koniecznie potrzebne, gdyż interesy jego, pomimo znacznego majątku żony, nie były w najlepszym stanie.

Półowa Moskwy i Petersburga była w pokrewieństwie lub w przyjaźni ze Stiepanem Arkadiewiczem. Obłoński urodził się w sferze ludzi, którzy byli i stali się silnymi tego świata. Trzecia część działaczy państwowych, obecnie już starych, była kiedyś w przyjaźni z ojcem jego i znała go jeszcze w poduszce. Druga część była z nim na „ty”, a trzecia byli to dobrzy znajomi, a zatem ci, co mogli rozdawać dary tego świata pod postacią posad, dzierżaw, koncesji i tym podobnych. Wszyscy byli jego przyjaciółmi i nie mogli o nim zapomnieć jako o jednym ze swoich. Obłoński nie potrzebował nawet starać się tak bardzo o dobrą posadę, trzeba było tylko nie odmawiać, nie

zazdrościć, nie klócić się, nie obrażać, czego on zresztą nigdy przez wrodzoną swą dobroć nie czynił. Roześmiałby się, gdyby mu powiedziano, że nie dostanie posady z pensją, która mu jest potrzebna, tym bardziej że nie żądał nawet niczego nadzwyczajnego, chciał tylko mieć to samo, co mieli jego rówieśnicy, a zajmować tego rodzaju stanowisko mógł nie gorzej niż ktokolwiek inny.

Stiepana Arkadiewicza lubili ci, co go znali, nie tylko za jego dobre serce, wesołe usposobienie i niepodlegającą najmniejszej wątpliwości uczciwość, lecz w nim samym, w jego postawie, w błyszczących oczach, w czarnych brwiach i włosach, w rumianej twarzy było coś, co usposabiało przyjaźnie i rozweselając ludzi, mających z nim jakąś styczność. „Aha! Stiwa! Obłoński! Jak się miewasz?” — prawie zawsze z uśmiechem zadowolenia odzywał się każdy przy spotkaniu z nim. Jeśli i zdarzyło się niekiedy, że po rozmowie z nim okazało się, że nic tak szczególnie przyjemnego nie zaszło, to pomimo to drugiego, trzeciego dnia przy spotkaniu się z nim każdy dyśzył się znowu tak samo.

Będąc już trzeci rok naczelnikiem jednego z urzędów w Moskwie, Stiepan Arkadiewicz pozyskał prócz miłości głębokie uznanie swych kolegów, podwładnych, przełożonych i wszystkich, którzy tylko mieli z nim do czynienia. Główne zalety Stiepana Arkadiewicza, które wyrobiły mu ogólne poważanie, polegały: po pierwsze na wielkiej wyrozumiałości dla ludzi, podstawą której była ogromna znajomość swych własnych wad; po drugie na zupełnym liberalizmie, nie tym, o którym czytał w dziennikach, lecz tym, który miał we krwi i który sprawiał, że zupełnie jednakowo obchodził się ze wszystkimi, nie zwracając uwagi na ich stan majątkowy i pochodzenie; i po trzecie, co było najważniejsze, na najzupełniej obojętnym traktowaniu swego zajęcia, wskutek czego nigdy nie unosił się i nie popełniał żadnych omyłek.

Przyjechawszy do biura, Stiepan Arkadiewicz, poprzedzany przez portiera, przeszedł do swego gabinetu, włożył mundur i wszedł do sali posiedzeń. Wszyscy pisarze i urzędnicy wstali i oddali mu ukłon. Stiepan Arkadiewicz prędkim krokiem, jak zwykle, podszedł do swego miejsca, podał rękę wszystkim członkom i usiadł przy stole.

Pożartowawszy i porozmawiawszy tyle, ile wypadało, Stiepan Arkadiewicz wziął się do roboty. Nikt nie umiał lepiej od niego zachować tej granicy swobody, prostoty i urzędowej powagi, która jest tak potrzebna w każdej wspólnej pracy.

Sekretarz uprzejmie i z szacunkiem należnym zwierzchnikowi zbliżył się z papierami pod pachą i odezwał się poufale-liberalnym tonem, zaprowadzonym w biurze przez Stiepana Arkadiewicza:

— Nareszcie otrzymaliśmy odpowiedź od penzeńskiego rządu gubernialnego. Oto może pan będzie łaskaw...

— Otrzymaliśmy wreszcie? — odezwał się Stiepan Arkadiewicz, odkładając na bok papier. — No, panowie... — I posiedzenie się rozpoczęło.

„Gdyby oni wiedzieli — myślał Stiepan Arkadiewicz, pochyliwszy poważnie głowę podczas referowania sprawy — że ich prezes pół godziny temu wyglądał jak chłopiec, którego mają ukarać”. I oczy jego śmiały się podczas odczytywania referatu. Posiedzenie powinno było trwać do drugiej bez przerwy; o drugiej przerwa i śniadanie.

Jeszcze nie było drugiej godziny, gdy duże szklane drzwi otworzyły się i ktoś chciał wejść. Wszyscy członkowie uradowani z chwilowej przerwy zaczęli spoglądać ku drzwiom, lecz woźny stojący na korytarzu nie wpuścił przybysza i zamknął drzwi.

Gdy przeczytano całą sprawę, Stiepan Arkadiewicz wstał, przeciągnął się i składając hołd liberalnym czasom, jeszcze w sali wyjął papierosa i skierował się ku swemu gabinetowi. Dwaj koledzy jego: stary Nikitin i kamerjunker Hryniewicz wyszli z nim razem.

— Po śniadaniu zdążymy skończyć — rzekł Stiepan Arkadiewicz.

— Ma się rozumieć — odpowiedział Nikitin.

— A jednak ten Fomin zdaje się porządnym łotrem — odezwał się Hryniewicz o jednej z osób, biorących udział w sprawie, którą właśnie przed chwilą rozpatrywano.

Stiepan Arkadiewicz skrzywił się, dając tym Hryniewiczowi do zrozumienia, że nie wypada przedwcześnie wypowiadać swego zdania, i nic mu nie odpowiadał.

— Kto tu wchodził? — zapytał się portiera.

— Na chwilę się tylko odwróciłem i zaraz ktoś wszedł bez pytania. Mówił, że chce się widzieć z panem prezesem. Powiedziałem mu: jak wszyscy wyjdą...

— Gdzież on jest?

— Wszedł chyba do sieni, bo przedtem ciągle chodził tutaj. Oto i on — zawołał woźny, pokazując na barczystego mężczyznę z kędzierzawą brodą, który nie zdejmując barankowej czapki, prędko i lekko wbiegł po wytartych

stopniach kamiennych schodów. Jakiś urzędnik schodzący na dół z portfelem pod pachą popatrzył z niechęcią na nogi biegnącego, a potem pytająco obejrzał się na Obłońskiego.

Stiepan Arkadiewicz stał nad schodami. Uśmiechnięta twarz jego, wychylająca się z haftowanego kołnierza munduru, uśmiechnęła się jeszcze bardziej, gdy ujrzał biegnącego.

— Lewin, jak się masz! — zawołał, przyglądając się Lewinowi, który właśnie podchodził do niego. Na twarzy Stiepana Arkadiewicza ukazał się przyjacielski, trochę ironiczny uśmiech. — I nie wstydzisz się odnaleźć mnie w tej jaskini? — pytał Stiepan Arkadiewicz, nie poprzestając na uściśku ręki i całując swego przyjaciela. — Dawnoś przyjechał?

— Dopiero co przyjechałem i chciałem bardzo zobaczyć się z tobą — odpowiedział Lewin nieśmiało, z gniewem i niepokojem się oglądając.

— No, chodźmy do gabinetu — przerwał mu Stiepan Arkadiewicz, znając dobrze dziwną nieśmiałość przyjaciela, po czym wziął go za rękę i pociągnął za sobą, jakby ochraniając od grożących mu niebezpieczeństw.

Stiepan Arkadiewicz był na „ty” prawie ze wszystkimi swymi znajomymi: z sześćdziesięcioletnimi starcami, dwudziestoletnimi chłopcami, aktorami, ministrami, kupcami, generał-adiutantami, do tego stopnia, że bardzo wielu spomiędzy tych, którzy z nim byli na „ty”, stało na dwóch krańcowych szczeblach społecznej drabiny i zdziwiłoby się zapewne bardzo, gdyby się dowiedziało, że przez Obłońskiego mają coś wspólnego ze sobą. Był na „ty” z każdym, z kim pił szampana — a pijał szampana ze wszystkimi — i dlatego, spotykając się w obecności swych podwładnych ze swymi przynoszącymi wstyd „ty”, jak nazywał w żartach wielu swych przyjaciół, Stiepan Arkadiewicz ze zwykłym sobie taktem umiał zmniejszać niemiłe wrażenie swoich podwładnych. Lewin nie należał do tych „ty”, których wypadało się wstydzić, lecz Obłoński domyślał się, że Lewinowi się zdaje, że on — Obłoński — wobec podwładnych nie chce pokazywać swych bliskich stosunków z nim i dlatego Stiepan Arkadiewicz pospieszył się i wprowadził go do swego gabinetu.

Lewin był prawie rówieśnikiem Obłońskiego i był z nim na „ty” nie z samego tylko szampana, gdyż był jego kolegą i przyjacielem jeszcze z lat dziecinnych. Lubili się nawzajem pomimo różnicy charakterów i upodobań, jak lubią się приятели, którzy spędzili razem młode lata. Lecz pomimo to, jak często się zdarza między ludźmi, którzy obrali różne pola działalności,

każdy z nich, chociaż uznawał działalność drugiego, to w głębi duszy pogardzał nią. Każdemu z nich zdawało się, że ten tryb życia, który on sam pędzi, jest jedynie właściwy, a życie jego przyjaciela tylko widmem życia. Obłoński, patrząc się na Lewina, nie mógł utaić lekkiego uśmiechu. Tyle razy widział go już przyjeżdżającego do Moskwy ze wsi, gdzie Lewin pracował nad czymś, lecz nad czym, tego Stiepan Arkadiewicz nie mógł nigdy dobrze zrozumieć, a zresztą i niewiele go to obchodziło. Lewin, przyjeżdżając do Moskwy, bywał zawsze bardzo roztargniony, zawsze spieszył się bardzo, był nieśmiały i nieśmiałość ta rozdrażniała go, wskutek czego wyjawiał zwykle najzupełniej nowe poglądy na wszystko, przeważnie takie, których najmniej można się było spodziewać po nim. Z poglądów tych Stiepan Arkadiewicz śmiał się zawsze i lubił je bardzo. Również i Lewin w głębi duszy pogardzał miejskim trybem życia swego przyjaciela i jego pracą biurową, gdyż uważał ją za najzupełniej zbyteczną na świecie, i śmiał się z niej. Lecz cała różnica polegała na tym, że Obłoński, postępując tak, jak wszyscy postępowali, śmiał się z przekonania i był pewny siebie, Lewin zaś nie był pewny siebie i dlatego śmiał się czasami z gniewem.

— Od dawna już czekamy na ciebie — odezwał się Stiepan Arkadiewicz, wchodząc do gabinetu i puszczając rękę Lewina, jakby dając mu tym do zrozumienia, że wszelkie niebezpieczeństwo już minęło. — Cieszę się bardzo, że widzę się z tobą! Cóż tam u ciebie słychać? Kiedy przyjechałeś?

Lewin nic nie odpowiedział, tylko od czasu do czasu spoglądał na nieznanome sobie twarze kolegów Obłońskiego, a zwłaszcza na ręce eleganckiego Hryniewicza. Widać było, że te ręce z długimi białymi palcami, żółtymi, zagiętymi na końcu paznokciami i z ogromnymi, błyszczącymi spinkami w mankietach pochłaniały całą uwagę Lewina i tamowały mu swobodny bieg myśli. Obłoński zauważył to natychmiast i się uśmiechnął.

— Ach! Prawda. Pozwólcie, panowie, że was zapoznam. Moi drodzy: Filip Iwanowicz Nikitin, Michał Stanisławowicz Hryniewicz — po czym wskazując Lewina, dodał: — działacz w ziemstwie, gimnastyk, podnoszący jedną ręką pięć pudów, hodowca bydła i myśliwy, mój przyjaciel: Konstanty Dmitriewicz Lewin, brat Sergiusza Iwanowicza Kornyszewa.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł Nikitin.

— Mam zaszczyt znać pańskiego brata, Sergiusza Iwanowicza — odezwał się Hryniewicz, podając Lewinowi szczupłą rękę z długimi paznokciami.

Lewin zmarszczył się, obojętnie uściśnął podaną sobie dłoń i zwrócił się w tej chwili ku Obłońskiemu. Pomimo że bardzo kochał i poważał swego przyrodniego brata, znanego w całej Rosji autora, nie znosił jednak, gdy zwracano się do niego nie jako do Konstantego Lewina, lecz jako do brata znakomitego Kornyszewa.

— Już nie jestem ziemskim działaczem. Pokłóciłem się ze wszystkimi i nie jeżdżę już więcej na zebrania — rzekł Lewin, zwracając się do Obłońskiego.

— To prędko! — z uśmiechem odpowiedział mu Obłoński. — Cóż to się stało? Dlaczego?

— Długa historia. Opowiem ci ją kiedy indziej — odrzekł Lewin, lecz zaraz zaczął opowiadać. — Krótko mówiąc, przekonałem się, że żadnej działalności w ziemstwie nie ma i być nie może. — Mówił prędko i z uniesieniem, jak gdyby mu kto gorąco przeczył. — Z jednej strony to zabawka, bawią się w parlament, a ja nie jestem ani dość młody, ani dość stary, aby bawić się zabawkami; z drugiej zaś strony (w tym miejscu się zająknął), jest to tylko jeden środek więcej dla powiatowej *coterie* do robienia pieniędzy. Dawniej były opieki, sądy, a teraz ziemstwo, nie jako łapówka, lecz jako synekura — zapalał się coraz bardziej.

— Ehe, jesteś, jak widzę, w nowym periodzie, w konserwatywnym — przerwał Stiepan Arkadiewicz. — Lecz zresztą o tym potem.

— Dobrze, potem. Lecz wpierw musiałem zobaczyć się z tobą — odrzekł Lewin, z niechęcią spoglądając na ręce Hryniewicza.

Stiepan Arkadiewicz się uśmiechnął.

— Mówiłeś kiedyś, że nigdy nie włożysz na siebie europejskiego ubrania? — zapytał, patrząc się na nowy garnitur Lewina, kupiony widocznie we francuskim magazynie. — Stanowczo widzę, że jesteś w nowym periodzie.

Lewin zarumienił się nagle, lecz nie tak, jak rumienia się ludzie dorosli, z lekka, sami nie wiedząc kiedy, lecz tak, jak czerwienią się chłopcy, gdy czują, że nieśmiałość naraża ich na śmieszność, i gdy wstydząc się jej, czerwienią się coraz bardziej. Dziwne wrażenie sprawiała ta rozumna męska twarz, oblana takim rumieńcem, lecz Obłoński przestał patrzeć na Lewina.

— Gdzież się będziemy mogli spotkać? Ja koniecznie muszę rozmówić się z tobą — zapytał Lewin.

Obłoński zdawał się namyślać.

- Pojedźmy najlepiej do Gurina na śniadanie. Mam czas do trzeciej.
- Nie — odpowiedział Lewin. — Teraz nie mam czasu.
- To pojedziemy razem na obiad.
- Na obiad? Nic tak szczególnego nie mam, tylko parę słów, a potem porozmawialibyśmy.
- To powiedz teraz te parę słów, a podczas obiadu porozmawiamy.
- Tylko dwa słowa, a zresztą nic tak bardzo ważnego.
- Na twarzy Lewina odmalowało się niezadowolenie, że nie może przezwyciężyć swej nieśmiałości.
- Co porabiają Szczerbacy? Czy wszystko po staremu?
- Stiepan Arkadiewicz, który wiedział już od dawna, że Lewin kocha się w siostrze jego żony Kiti, uśmiechnął się i oczy błysnęły mu lekko.
- Powiedziałeś, że dwa słowa, a ja w dwóch słowach odpowiedzieć tobie nie mogę, gdyż... przepraszam cię na chwilkę...
- Do gabinetu wszedł sekretarz i ze zwykłym u sekretarzy poczuciem swej przewagi w znajomości spraw nad naczelnikiem podszedł z papierami do Obłońskiego i zaczął, niby to pytając się o wskazówki, wyjaśniać prezesowi jakiś zawiły punkt w sprawie. Stiepan Arkadiewicz przerwał mu, kładąc dłoń na rękawie sekretarza.
- Nie, mój panie, zrób pan tak, jak ja mówiłem — odpowiedział, starając się uśmiechem złagodzić daną podwładnemu wymówkę, i wyłożywszy mu krótko, jak należy zapatrywać się na daną sprawę, odsunął papiery i rzekł: — Bądź pan łaskaw już tak zrobić, Zacharze Nikiticzu!
- Sekretarz zawstydział się i odszedł. Lewin podczas narady Obłońskiego z sekretarzem otrząsnął się zupełnie ze swego zakłopotania i stał, oparłszy się rękoma o krzesło. Widać po nim było, że z drwiącą uwagą przysłuchuje się rozmowie.
- Nic nie rozumiem — odezwał się, gdy sekretarz zamknął drzwi za sobą.
- Czego nie rozumiesz? — uśmiechając się wesoło i wyjmując papierosa, zapytał Obłoński.
- Nie rozumiem, co wy tutaj robicie — odpowiedział Lewin, wzruszając ramionami. — Jak ty to możesz robić na serio?
- Dlaczego?
- Dlatego, że tu nie ma co robić!
- Tak ci się zdaje, lecz my mamy masę roboty...

— Papierowej... Ty zresztą masz talent do tego — dodał Lewin.

— To znaczy, że ci się zdaje, że mi czegoś brakuje?

— Może być, że i tak — odpowiedział Lewin. — Lecz w każdym razie zachwycam się twą wielkością i napawa mnie to dumą, że mój przyjaciel jest takim wielkim człowiekiem. Nie odpowiedziałeś mi wszakże na moje pytanie — dodał po chwili z pewnym wysiłkiem, patrząc prosto w oczy Obłońskiemu.

— Dobrze, dobrze. Nic jeszcze nie wiadomo, jak to z tobą będzie. Dobrze ci, gdy masz trzy tysiące dziesięcin w karazińskim powiecie i takie mięśnie, i gdy czujesz się tak młody jak dwunastoletnia dziewczynka. A co do tego, o co się pytałeś, to żadnych zmian nie ma. Szkoda tylko, że cię tak dawno nie było.

— Dlaczego? — z przestachem zapytał Lewin.

— Tak, nic — odpowiedział Obłoński. — Potem porozmawiamy. Po coś ty właściwie przyjechał?

— I o tym też porozmawiamy później — odrzekł Lewin, czerwieniąc się po uszy.

— Dobrze. Już rozumiem. Wybacz, prosiłbym cię do siebie, ale żona jest trochę niezdrowa. A zresztą, jeśli chcesz ich widzieć, to zastaniesz ich właśnie o tej porze, między czwartą a piątą, w ogrodzie zoologicznym. Kiti używa ślizgawki. Idź tam, ja przyjadę po ciebie i pojedziemy razem na obiad.

— Dobrze, a więc do widzenia.

— Tylko pamiętaj, przecież ja ciebie znam: albo zapomnisz, albo ni stąd, ni zowąd pojedziesz na wieś! — śmiejąc się, zawołał Stiepan Arkadiewicz.

— Nie, będę na pewno!

Lewin wyszedł z gabinetu i dopiero na schodach spostrzegł, że zapomniał pożegnać się z kolegami Obłońskiego.

— Wygląda na bardzo energiczne indywiduum — zauważył Hryniwicz po wyjściu Lewina.

— Tak, moi panowie — odrzekł na to Stiepan Arkadiewicz, kiwając głową. — Szczęśliwy człowiek! Trzy tysiące dziesięcin w karazińskim powiecie, cała przyszłość przed nim i tyle sił żywotnych. Nie tak, jak my.

— A czego panu brakuje?

— E! Żle wszystko — odpowiedział Stiepan Arkadiewicz, ciężko wzdykając.

VI

Gdy Obłoński zapytał Lewina, po co właściwie przyjechał, Lewin się zaczerwienił, gdyż nie mógł mu odpowiedzieć: „Przyjechałem oświadczyć się siostrze twojej żony”, chociaż naprawdę przyjechał po to.

Rodziny Lewinów i Szczerbackich należały do starych szlacheckich rosyjskich rodów i zawsze były ze sobą w bliskich i przyjaznych stosunkach. Stosunki te utrwaliły się jeszcze bardziej, gdy Lewin był studentem, gdyż przygotowywał się na uniwersytet razem z młodym Szczerbackim, bratem Kiti i Dolly, i na uniwersytecie się z nim kolegował. Lewin był wtedy często u Szczerbackich i zakochał się w ich domu. Wydawać się to może dziwne, lecz Konstanty Lewin był w istocie zakochany w domu, w rodzinie, szczególnie w żeńskiej połowie rodziny Szczerbackich. Lewin nie pamiętał swej matki, jego jedyna siostra była znacznie od niego starsza, w domu Szczerbackich więc zapoznał się po raz pierwszy z tą sferą dawnej szlacheckiej wykształconej i zacnej rodziny, której pozbawiła go śmierć ojca i matki. Wszyscy członkowie tej rodziny, szczególnie należące do niej kobiety, zdawali mu się osłonięci jakąś poetyczną, tajemniczą zasłoną, nie mówiąc już o tym, że nie widział w nich żadnych wad, lecz szczerze był przekonany, że za tą zasłoną kryją się najwznioślejsze uczucia i zupełna doskonałość. Dlaczego te trzy panny musiały jednego dnia mówić po angielsku, a drugiego po francusku? Dlaczego o pewnych godzinach grywały na przemian na fortepianie, którego dźwięki dochodziły aż na górę, do brata, gdzie uczyli się studenci? Dlaczego przychodzili profesorowie literatury francuskiej, muzyki, rysunków, tańców? Dlaczego o pewnych godzinach wszystkie trzy panny z Mlle Linon wyjeżdżały powozem na Twerski bulwar w aksamitnych szubkach: Dolly w długiej, Natali w krótszej, a Kiti w zupełnie krótkiej, tak że widać było jej zgrabne nóżki, obciągnięte w czerwone pończoszki? Dlaczego z lokajem, strojnym w kapelusz ze złotym galonem, chodziły po Twerskim bulwarze? Tego wszystkiego, jak i wielu innych rzeczy, które działy się w ich otoczeniu, nie rozumiał, ale był przekonany, że wszystko, co się tam dzieje, było bezwarunkowo jak najlepsze, i zakochany był w tej tajemniczości właśnie.

Za swych studenckich czasów Lewin mało co nie zakochał się w najstarszej Dolly, lecz Dolly wyszła wkrótce za Obłońskiego. Potem zaczął się kochać w drugiej. Zdawało mu się, że powinien zakochać się w jednej z sióstr, lecz sam nie zdawał sobie sprawy, w której. Lecz i Natali, jak tylko zaczęła bywać, zaraz wyszła za mąż za dyplomatę Lwowa. Kiti była jeszcze dzieckiem, gdy Lewin skończył uniwersytet. Młody Szczerbacki, wstąpiwszy do marynarki, utonął w Morzu Bałtyckim i stosunki Lewina ze Szczerbackimi stały się rzadsze, mimo tego że z Obłońskim żył zawsze w przyjaźni. Lecz gdy w tym roku, na początku zimy Lewin, spędziwszy cały rok na wsi, przyjechał do Moskwy i zobaczył Szczerbackich, wtedy dopiero zrozumiał, w której z trzech sióstr było mu przeznaczone się zakochać.

Mogłoby się wydawać zupełnie naturalne, że on, Lewin, pochodzący z dobrego rodu, człowiek zamożny, ma zamiar oświadczyć się o rękę księżniczki Szczerbackiej. Prawdopodobnie od razu by go przyjęto i uważano za dobrą partię. Lecz Lewin był zakochany i dlatego mu się zdawało, że Kiti jest doskonałością pod każdym względem, istotą znacznie wyższą ponad wszystkich i wszystko, a on sam takim pospolitym, zwyczajnym stworzeniem, że nie było nawet cienia prawdopodobieństwa, aby świat cały i ona, Kiti, uznali go za godnego jej.

Spędziwszy w Moskwie dwa miesiące, codziennie prawie spotykając się z Kiti, gdyż Lewin zaczął dużo bywać, aby widywać się z nią, nagle doszedł do wniosku, że małżeństwo ich nigdy nie może dojść do skutku, i wyjechał na wieś.

Przekonanie Lewina, że Kiti wyjść za niego nie może, polegało głównie na tym, że zdaniem jego rodzina uważać go będzie za niegodnego ślicznej Kiti, a sama Kiti kochać go nie może, gdyż w oczach rodziny nie miał żadnego określonego stanowiska, gdy tymczasem koledzy i rówieśnicy jego — Lewin miał trzydzieści dwa lata — byli już pułkownikami, fligeladiutantami, profesorami, dyrektorami banków i kolei, prezesami różnych instytucji, jak na przykład Obłoński. On zaś (a wiedział dobrze, jaki wydawać się musi wszystkim) był obywatelem ziemskim, zajmował się hodowlą krów, polował na dubelty, stawiał budynki, a więc miał się za jednostkę pozbawioną wszelkich zdolności.

I ta urocza, tajemnicza Kiti nie mogła kochać takiego brzydkiego — za jakiego on sam się uważał — człowieka, a przede wszystkim takiego pospolitego, niczym się niewyróżniającego. Prócz tego poprzedni jego stosu-

nek z Kiti — stosunek dorosłego człowieka z dzieckiem — wydawał mu się jeszcze jedną przeszkodą. Brzydkiego, dobrego człowieka — za jakiego się miał — można było, zdaniem jego, lubić jako przyjaciela, lecz żeby być kochanym tą miłością, jaką on kochał Kiti, trzeba było być pięknym, a przede wszystkim nadzwyczajnym człowiekiem.

Lewin słyszał, że kobiety często kochają się w nieładnych, zwyczajnych ludziach, lecz nie dawał temu wiary, gdyż sądził po sobie, a on sam mógł kochać się tylko w ładnych, tajemniczych i nadzwyczajnych kobietach.

Lecz spędziwszy samotnie dwa miesiące na wsi, Lewin przekonał się, że to nie była jedna z tych przelotnych miłostek, przez które przechodził w latach swej pierwszej młodości; że uczucie to nie dawało mu ani chwili spokoju; że nie rozwiązawszy tej kwestii, czy ona będzie lub nie będzie jego żoną, nie może żyć spokojnie i że przyczyną zwątpienia, które go opano-owało, była tylko wyobraźnia; że nie ma na to żadnych dowodów, aby mu miano odmówić ręki Kiti. I teraz znów przyjechał do Moskwy z mocnym postanowieniem oświadczenia się i ożenienia, jeśli tylko zostanie przyjęty, lub też... Lecz Lewin nie mógł myśleć o tym, co by się z nim stało, gdyby go spotkała odmowa.

VII

Przyjechawszy rannym pociągami do Moskwy, Lewin stanął u swego starszego przyrodniego brata, Koznyszewa. Przebrawszy się, wszedł do gabinetu brata z zamiarem opowiedzenia mu zaraz celu swego przyjazdu i proszenia o radę, lecz w pokoju oprócz gospodarza zastał znanego powszechnie profesora filozofii, który po to tylko przyjechał z Charkowa, aby wyjaśnić nieporozumienie, wynikłe między nim a Koznyszewem z powodu bardzo ważnej kwestii filozoficznej. Profesor prowadził nader ożywioną polemikę z materialistami i Sergiusz Koznyszew z ogromnym zaciekawieniem śledził jej przebieg. Przeczytawszy ostatni artykuł profesora, napisał do niego list ze swymi zarzutami. Zarzucał mu mianowicie zbyt wielkie ustępstwa,

które profesor miał poczynić materialistom. I profesor natychmiast przyjechał, aby osobiście rozmówić się z Sergiejem Iwanowiczem. Mowa tu była o modnej kwestii, czy istnieje jakaś granica między psychicznymi czynnościami człowieka i na czym ona polega.

Sergiusz Iwanowicz przywitał brata grzecznym, lecz oziębłym uśmiechem, którym miał zwyczaj witać się ze wszystkimi, i przedstawivszy go profesorowi, powrócił do przerwanej rozmowy.

Profesor, człowiek niskiego wzrostu, o wąskim czole, w okularach, przerwał rozmowę, aby się przywitać, i znów zaczął mówić, nie zwracając uwagi na Lewina. Lewin, czekając na odejście profesora, usiadł, nie biorąc udziału w rozmowie, lecz wkrótce zainteresował się nią. Lewin spotykał się w pismach z artykułami, o których była tu mowa, i czytał je, interesując się nimi jako przyrodnik, gdyż zajmowały się rozwijaniem znanych mu podstaw przyrodoznawstwa. Lecz nigdy nie łączył w swym umyśle naukowych badań o pochodzeniu człowieka, o refleksjach, o biologii, o socjologii z kwestiami o znaczeniu życia i śmierci, które w ostatnich czasach coraz częściej przychodziły mu na myśl.

Przysłuchując się rozmowie brata z profesorem, Lewin zauważył, że łączyli kwestie naukowe z osobistymi, że parę razy mieli już o nich mówić, lecz za każdym razem, gdy zanadto zbliżali się do omawiania głównego punktu, to, jak się Lewinowi zdawało, w tej chwili naumyślnie oddalali się od niego i znów zagłębiali w sferę omówień, cytatów, napomknień, powoływań się na autorytety, i Lewin nie mógł dobrze zrozumieć, o co im właściwie idzie.

— Nie mogę przypuścić — mówił Sergiusz Iwanowicz ze zwykłą mu jasnością i dobitnością wyrażen i z piękną dykcją. — Nie mogę w żadnym razie pogodzić się z Keisem, że całe moje poczucie zewnętrznego świata ma swe źródło we wrażeniach. Najbardziej podstawowe pojęcie istnienia osiągam nie przez czucie. Nie ma też zresztą specjalnego organu dla odbierania tego wrażenia.

— Tak jest w istocie, lecz oni, to jest i Wurst, i Knaust, i Prypasow, odpowiedzą panu, że pańskie poczucie istnienia wynika z łączności tych wszystkich wrażeń, że poczucie istnienia jest rezultatem tych wszystkich wrażeń. Wurst nawet wprost twierdzi, że gdzie nie ma wrażeń, nie ma też i pojęcia istnienia.

— Ja zaś powiem zupełnie przeciwnie — zaczął Sergiusz Iwanowicz.

Lecz Lewinowi i tym razem się zdawało, że zbliżywszy się do głównej treści swej rozmowy, znów oddalają się od niej, i zdecydował się zapytać profesora:

— Więc gdy zmysły me zostaną unicestwione, gdy ciało me umrze, to już żadne istnienie miejsca nie ma?

Profesor z gniewem i jakby pod wrażeniem bólu umysłowego, spowodowanego przerwaniem mu, spojrział na pytającego, który bardziej był podobny do burłaka niż do filozofa, i obejrzał się na Sergiusza Iwanowicza, który dysputował nie z takim wysiłkiem i jednostronnością jak profesor i w którego głowie pozostawało dość miejsca i na odpowiadanie profesоровi, i na zrozumienie tego prostego i naturalnego punktu widzenia, z którego zostało zadane pytanie. Sergiusz Iwanowicz uśmiechnął się i odpowiedział:

— Tego problemu nie mamy prawa stanowczo rozwiązać...

— Nie mamy danych — potwierdził profesor i znów zaczął przytaczać swe dowody. — Nie — mówił — chcę udowodnić, że jeśli, jak to wprost twierdzi Prypasow, czucie ma za podstawę wrażenie, to powinniśmy ściśle rozróżniać te dwa pojęcia.

Lewin nie słuchał dłużej, lecz czekał cierpliwie na odejście profesora.

VIII

Gdy profesor odszedł, Sergiusz Iwanowicz zwrócił się ku bratu.

— Kontent bardzo jestem, żeś przyjechał. Czy długo masz zamiar zabawić? Jakże tam gospodarstwo?

Lewin wiedział, że gospodarstwo nie bardzo interesuje brata i że pytanie to było mu zadane tylko przez grzeczność, zbył je więc, opowiadając tylko o urodzaju pszenicy i o pieniądzach.

Lewin chciał też powiedzieć bratu o swym zamiarze żenienia się i zapytać się go o radę, a nawet zdecydował się na to zupełnie, lecz gdy zobaczył Sergiusza, gdy posłuchał jego rozmowy z profesorem, gdy usłyszał potem ten bezwiednie pobłażliwy ton, którym brat wypytywał się o gospodarstwo (majątku po matce nie podzielili pomiędzy sobą i Lewin zarządzał częścią brata i swoją), Lewin przekonał się, że nie może jakoś zacząć rozmowy o zamierzonym małżeństwie.

— Jakżeż tam u was ziemstwo? — zapytał Sergiusz Iwanowicz, który interesował się bardzo ziemstwami i przypisywał im ogromne znaczenie.

— Doprawdy nie wiem...

— Jak to? Już nie jesteś członkiem zarządu?

- Nie, przestałem nim być i nie jeżdżę już na zebrania.
— Szkoda! — rzekł Sergiusz Iwanowicz i się zmarszczył.

Lewin, chcąc się wytłumaczyć, zaczął opowiadać, co się dzieje w jego powiecie na zebraniach.

— Stara historia — przerwał mu Sergiusz Iwanowicz. — My, Rosjanie, zawsze jesteśmy jednakowi. Może być, że ta zdolność dopatrywania się swych braków jest naszą zaletą, lecz często bardzo przesadzamy, pocieszając się tylko ironią, którą mamy zawsze na języku. Powiem ci tylko, że aby dano takie instytucje, jak nasze ziemstwo, jakiegoś innemu europejskiemu narodowi, to Niemcy lub Anglicy wyrobiliby sobie z nich zupełną niezależność, a my śmiejemy się tylko.

— Cóż więc należy robić? — zapytał nieśmiało Lewin. — Chciałem spróbować raz jeszcze i z całego serca pragnąłem, aby ta próba się udała, lecz nie mogłem nic zrobić, widocznie nie jestem zdatny do tego.

— Nie jesteś niezdatny, lecz źle zapatrujesz się na te kwestie.

— Zapewne — odpowiedział niechętnie Lewin.

— A czy wiesz, że Mikołaj jest znowu w Moskwie?

Mikołaj był rodzonym starszym bratem Konstantego Lewina i przyrodnim bratem Sergiusza Iwanowicza. Był to człowiek stracony, który roztrwonił prawie całą swą schedę po rodzicach, obracał się w jak najgorszym towarzystwie i zerwał zupełnie z braćmi.

— Skąd o tym wiesz? — z przerażeniem zapytał Lewin.

— Prokopij widział go na ulicy.

— W Moskwie? Gdzież on jest? Czy wiesz to na pewno? — Lewin podniósł się z kozła, jakby natychmiast chciał iść do brata.

— Żałuję bardzo, że ci powiedział o tym — odezwał się Sergiusz Iwanowicz, spoglądając z podziwem na przestrach brata. — Kazałem się już dowiedzieć, gdzie Mikołaj mieszka, i posłałem mu weksel, który wystawił Trubinowi, a który ja zapłaciłem. I oto, co mi odpowiedział.

Sergiusz Iwanowicz podał bratu kartkę, wyjętą spod przycisku.

Lewin przeczytał te kilka słów, napisanych dziwnym pismem, podobnym do jego: „Proszę uniżenie zostawić mnie w spokoju — tego tylko żądam od mych ukochanych braciszków. — Mikołaj Lewin”.

Lewin przeczytał to i nie podnosząc głowy, stał z kartką w ręku przed Sergiuszem Iwanowiczem. Toczył on wewnętrzną walkę, gdyż chciał wyrzec się zupełnie nieszczęśliwego brata i sam zdawał sobie sprawę z tego, że postąpi nieodpowiednio.

— Widocznie chce mnie obrazić — mówił dalej Sergiusz Iwanowicz. — Lecz obrazić mnie nie może, a ja z całego serca chciałbym mu pomóc, choć wiem, że jest to niemożliwe.

— Tak, tak — potwierdził Lewin. — Rozumiem i cenię twe postępowanie. Ja w każdym razie pojedę do niego.

— Jedź, jak chcesz, lecz ja ci nie radzę — odpowiedział na to Sergiusz Iwanowicz. — To jest, co do mnie, nie lękam się tego, gdyż nie uda się mu poróżnić nas, lecz co do ciebie, to stanowczo jestem zdania, że lepiej nie jechać. Pomóc mu już nie można. A zresztą, rób jak chcesz.

— Możliwe, że nie można mu już pomóc, lecz obawiam się, zwłaszcza teraz, lecz to jest zupełnie co innego, obawiam się, że nie można go tak zostawić.

— Tego już nie rozumiem — rzekł Sergiusz Iwanowicz. — Wiem tylko jedno — dodał po chwili — że uważam postępowanie Mikołaja za lekcję pokory. Zupełnie inaczej i pobłaźliwiej zacząłem zapatrywać się na to, co nazywa się podłością, z chwilą gdy brat mój stał się tym, czym jest obecnie... Wiesz sam przecież, co on zrobił...

— Ach, mój Boże, mój Boże! — powtórzył Lewin.

Dowiedziawszy się od lokaja Sergiusza Iwanowicza, gdzie mieszka Mikołaj, Lewin postanowił być u niego wieczorem. Przede wszystkim, aby mieć spokojną głowę, należało załatwić główny cel swego przyjazdu. Pożegnawszy się z bratem, Lewin pojechał do Obłońskiego, od niego dowiedział się o Szczerbackich, po czym udał się do ogrodu zoologicznego, gdzie, jak mu to Obłoński powiedział, miał zastać Kiti.

IX

Lewinowi serce biło, gdy o czwartej godzinie wysiadł z sanek przed ogrodem zoologicznym i gdy szedł ścieżką ku sadzawce, wiedząc już na pewno, że zastanie Kiti, gdyż widział karetę Szczerbackich przed bramą wjazdową.

Dzień był jasny i mroźny. Przed bramą stały rzędem karety, sanki, żandarmi. Publiczność, błyszcząc na jasnym słońcu kapeluszami, roiała się u wejścia i na drózkach, po bokach których stały domki w rosyjskim stylu,

zdobne w rzeźby. Stare kędzierzawe brzozy, z gałęziami zwisającymi od śniegu, zdawały się przybrane w nowe uroczyste szaty.

Lewin szedł ścieżką w stronę sadzawki i mówił sam do siebie: „Nie trzeba się denerwować, należy właśnie być najzupełniej spokojnym. Czemu bijesz tak mocno? Milcz, ty głupie!” — zwracał się do serca swego. Lecz im bardziej starał się uspokoić, tym silniej biło mu serce i tym bardziej brakło mu tchu. Ktoś ze znajomych spotkał go i zawołał nań, lecz Lewin nawet go nie poznał. Podszedł do gór, gdzie słychać było brzęczenie łańcuchów, na których spuszczały się i podnosiły saneczki. Wesołe okrzyki używających szlichtady brzmiały w powietrzu. Gdy Lewin przeszedł jeszcze parę kroków i stanął nad sadzawką, od razu rozpoznał ją między ślizgającymi się.

Obecności jej domyślił się z radości i z przestrochu, który owładnął jego sercem. Ona stała na drugim końcu sadzawki i rozmawiała z jedną ze znajomych pań. Zdawało się, że nie ma nic nadzwyczajnego ani w jej postaci, ani w jej ubraniu, lecz Lewinowi było równie łatwo odróżnić ją w tym tłumie, jak spostrzec róże między pokrzywami. Ona opromieniała wszystko. Ona była uśmiechem, roztaczającym szczęście dokoła. „Czyż doprawdy mogę zejść tam na lód i podejść do niej?” — pomyślał. Miejsce, w którym stała, wydawało się Lewinowi niedostępną świątynią i przez chwilę miał już zamiar odejść, do tego stopnia się bał. Musiał zrobić wysiłek i pomyśleć, że koło niej chodzą najrozmaitszego rodzaju ludzie i że on sam mógł przyjść tutaj, aby się ślizgać. Zszedł więc na lód, starając się na nią nie patrzeć zbyt długo, tak samo jak i na słońce, lecz chociaż nie patrzył na nią, widział ją, tak samo jak słońce.

Na lodzie zbierało się w tym dniu tygodnia i o tej godzinie zawsze jedno i to samo towarzystwo, i to sami znajomi. Byli tam i tacy, którzy doskonale się ślizgali, i tacy, co dopiero się uczyli. Ci trzymali się za saneczki i niezgrabnie, z pewną obawą popychali je przed sobą. Młodzi chłopcy i ludzie starsi, którzy ślizgali się tylko dla higieny: wszyscy oni wydawali się Lewinowi wybrani, gdyż byli tutaj, blisko niej. Lewinowi dziwne się to zdawało, że wszyscy najzupełniej obojętnie doganiali ją, prześcigali, a nawet i rozmawiali, niektórzy zaś nie zwracali na nią żadnej uwagi i bawili się wesoło, korzystając z doskonałego lodu i ładnej pogody.

Mikołaj Szczerbacki, stryjeczny brat Kiti, w krótkiej marynarce i wąskich spodniach, z łyżwami na nogach, siedział na ławce, a ujrawszy Lewina, zawołał:

— A! Pierwszy mistrz jazdy na łyżwach! Kiedyś pan przyjechał? Bierz pan łyżwy, mamy doskonały lód!

— Nie mam łyżew — odpowiedział Lewin, dziwiąc się, że jest tak śmiały w jej obecności, i nie tracąc jej ani na chwilę z oczu, chociaż nie patrzył na nią zupełnie, odczuwał, że słońce zbliżało się ku niemu. Kiti stała w końcu sadzawki i nieśmiało wspierając się na wąskich nóżkach, obutych w wysokie trzewiki, bojąc się upaść, zbliżała się ku niemu. Chłopiec jakiś, w rosyjskim ludowym ubiorze, machając rękoma i schyliwszy się ku ziemi, starał się ją wyprzedzić. Widać było, że Kiti nie czuła się zupełnie pewnie na lodzie: wyjąwszy ręce z małej mufki wiszącej na wstążce, starała się nimi utrzymać równowagę i patrząc na Lewina, którego od razu poznała, uśmiechała się, trochę do niego, trochę zaś ze swego przestachu. Gdy zakręt się skończył, Kiti podjechała prosto do Szczerbackiego i trzymając go mocno za rękę, z uśmiechem kiwnęła głową Lewinowi. W tej chwili była jeszcze ładniejsza, niż wyobrażał ją sobie.

Gdy myślał o niej, łatwo mu było przedstawić ją sobie całą, a zwłaszcza urok tej małej jasnej główki z wyrazem dziecinnej szczerości i dobroci, tej główki, która tak ładnie wspierała się na zgrabnych dziewczyczych ramionach. Szczególny jej wdzięk, którym Lewin tak się zachwycił, tworzyło połączenie dziecinnego wyrazu twarzy i pięknej figury. Lecz Lewina zawsze najbardziej uderzał w Kiti wyraz jej łagodnych, spokojnych, pełnych szczerości oczu, a jeszcze bardziej jej uśmiech, który go zawsze przenosił w jakieś nieznanne, zaczarowane światy, w których Lewinowi było tak błogo i tak spokojnie, jak nigdy nie było w rzeczywistości, chyba kiedyś, w dawno minionych latach dzieciństwa.

— Dawno jesteś pan już tutaj? — rzekła Kiti, podając Lewinowi rękę. — Dziękuję — dodała po chwili, gdy Lewin podniósł z ziemi chusteczkę, która wypadła z mufki.

— Ja? Ja... niedawno, wczoraj... to jest dzisiaj przyjechałem... — odrzekł Lewin, zmieszany do tego stopnia, że nie od razu zrozumiał jej pytanie. — Chciałem być dzisiaj u państwa — zaczął mówić, lecz przypomniawszy sobie, z jakimi zamiarami względem niej przyjechał, zmieszał się znów i zarumienił cały. — Nie wiedziałem, że pani ślizga się, i to tak dobrze...

Kiti spojrzała na niego z uwagą, jakby chcąc odnaleźć powód jego zmieszania.

— Pańską pochwałą należy cenić, gdyż tutaj na ślizgawce zachowała się tradycja pańskiej jazdy — odezwała się, strzepując z muflki igielki szronu rączką obciśniętą w czarną rękawiczkę.

— Kiedyś ślizgałem się namiętnie, chciałem dojść do doskonałości.

— Pan zawsze wszystko robi z namiętnością — odrzekła, uśmiechając się. — Chciałabym bardzo zobaczyć, jak się pan ślizga. Niech pan weźmie łyżwy, będziemy się ślizgać razem.

„Ślizgać się z nią? Czyż to jest możliwe?” — myślał Lewin, patrząc się na nią.

— W tej chwili wezmę — odpowiedział i poszedł przypasywać sobie łyżwy.

— Dawnośmy już nie widzieli pana tutaj — zaczął mówić posługacz, podtrzymując nogę i wkręcając w obcas śrubę. — Odkąd pana nie ma, nie ma nikogo, kto by się ślizgał tak dobrze jak pan. Czy dobrze przymocowałem? — zapytał, zapinając rzemyk.

— Dobrze, dobrze, tylko prędzej, mój kochany — odpowiedział Lewin, nie mogąc powstrzymać uśmiechu szczęścia, który mimo woli ukazał się na jego twarzy. „Doprawdy — mówił sam do siebie — teraz dopiero naprawdę żyję i używam zupełnego szczęścia! Będziemy — rzekła — ślizgać się razem. Czy może teraz wyznać jej wszystko? Ale dlatego przecież lękam się mówić jej teraz o tym, gdyż jestem szczęśliwy, choćby nadzieją samą... A potem? Lecz trzeba, trzeba koniecznie!”

Lewin wstał z ławki, zdjął palto i rozpędziwszy się po chropowatym trochę przy brzegach lodzie, dostał się prędko na równą powierzchnię i sunął bez najmniejszego wysiłku. Zdawało się, że nie odpowiednimi ruchami nóg, lecz wolą swą powiększał lub zmniejszał szybkość biegu i nadawał mu kierunek. Zbliżał się do Kiti nieśmiało, lecz uśmiech jej dodawał mu odwagi.

Kiti podała mu rękę i ruszyli razem, z coraz większą szybkością sunąc po szklanej tafli lodu, a im prędzej biegli, tym ona mocniej trzymała się jego ramienia.

— Sama nie wiem dlaczego, ale pewna jestem, że z panem nauczyłabym się dużo prędzej — odezwała się.

— I ja czuję się pewny siebie, gdy pani opiera się na mnie — odrzekł Lewin, lecz w tej chwili przeląkł się tego, co powiedział, i się zarumienił. Jak też w istocie, jak tylko wymówił te parę słów, nagle, jak gdyby słońce schoowało się za chmury, z twarzy jej znikł uśmiech i Lewin ujrzał znajomy mu dobrze wyraz jej oblicza, w którym odbijał się wysiłek myśli. Na jej gładkim czole pokazała się zmarszczka.

— Co się pani stało? A zresztą nie mam prawa pytać się o to — pośpieszył się poprawić.

— Dlaczego?... Nic mi się nie stało... — odpowiedziała obojętnie i natychmiast dodała: — Czyś pan widział się już z Mlle Linon?

— Jeszcze nie.

— To idź pan do niej, ona tak lubi pana.

„Co się takiego stało? Czyżbym, ja, broń Boże, obraził?” — pomyślał Lewin i pobiegł ku starej Francuzce z siwymi pukielkami, siedzącej na ławce.

Mlle Linon, ujrzawszy go, uśmiechnęła się, pokazując sztuczne zęby, i powitała jak starego przyjaciela.

— Tak, rośniemy — rzekła, wskazując oczyma na Kiti. — *Tiny bear* urósł! — mówiła, śmiejąc się i przypominając Lewinowi jego żart o trzech pannach, które nazywał kiedyś niedźwiadkami z angielskiej bajki. — Czy pan przypomina sobie, jak pan tak mawiał czasami?

Lewin zapomniał już o tym zupełnie, lecz Mlle Linon od dziesięciu już lat śmiała się z tego dowcipu i lubiła go powtarzać.

— Idź pan się ślizgać. A nasza Kiti już wcale nieźle jeździ?

Gdy Lewin podszedł znów do Kiti, twarz jej nie była już tak surowa, a oczy spoglądały łagodnie, lecz Lewinowi się zdawało, że mimo to Kiti jest niezadowolona. I zrobiło mu się smutno.

Porozmawiawszy z Lewinem o swej starej guwernantce i o jej dziwactwach, Kiti zapytała go, co porabia na wsi.

— Czyż się panu nie nudzi, siedzieć tak całą zimę na wsi? — zapytała.

— Nie, nie nudzę się, gdyż jestem bardzo zajęty — odpowiedział, czując, że poddaje się jej wpływowi, któremu oprzeć się nie będzie w stanie, tak samo jak i dwa miesiące temu.

— Na długo pan przyjechał? — zapytała znów Kiti.

— Nie wiem — odpowiedział, nie myśląc o tym, co mówi. Przyszło mu na myśl, że jeśli znów stanie z nią na ich zwykłej przyjacielskiej stopie, to znów w końcu będzie musiał wyjechać, nie zdecydowawszy się na nic, i postanowił postawić sprawę jasno.

— Więc pan nie wie?

— Nie wiem, wyjazd mój będzie zależał od pani — odpowiedział, lecz nagle przestraszył się swych własnych słów.

Nie wiadomo, czy Kiti nie słyszała odpowiedzi, czy też nie chciała jej słyszeć, lecz w tej chwili, potknąwszy się, puściła jego rękę i odeszła ku Mlle

Linon, powiedziała jej parę słów i razem z Francuzką skierowała się ku domowi, gdzie była urządzona garderoba dla pań.

„Co też ja narobiłem? Mój Boże, dopomóż mi i naucz mnie!” — modlił się Lewin i jednocześnie, czując potrzebę przyspieszonego ruchu, rozpędził się i zaczął opisywać na lodzie koła.

W tej chwili jeden z młodych ludzi, najlepszy łyżwiarz, z papierosem w ustach wyszedł z kawiarni i rozpędziwszy się, zaczął spuszczać się na łyżwach na dół po schodach, podskakując na każdym stopniu. Gdy zbiegł na lód, nie starając się nawet rękoma utrzymać równowagi, zaczął się ślizgać i wypisywać ósemki.

— Nowa zupełnie sztuka! — rzekł Lewin i zaraz pobiegł na górę.

— Nie zabij się pan tylko! Do tego trzeba mieć ogromną wprawę! — zawołał za nim Mikołaj Szczerbacki.

Lewin wszedł na schodki, nabrał rozpędu i puścił się na dół, starając się rękoma utrzymać równowagę, na ostatnim jednak stopniu potknął się, lecz jednym silnym ruchem wyprostował się i dotknąwszy się tylko ręką lodu, uśmiechnięty pobiegł dalej.

„Jaki on jest przyjemny” — pomyślała Kiti, wychodząc z Mlle Linon z garderoby i patrząc na niego z przyjaznym uśmiechem, jak na ukochanego brata. „Czyżbym była winna? Czyżbym zrobiła coś złego? Ludzie mówią: kokieteria. Wiem, że go nie kocham, lecz jest mi tak wesoło w jego towarzystwie i jest taki przyjemny. Tylko dlaczego on to powiedział?” — pomyślała.

Spostrzegwszy, że Kiti wychodzi i że matka jej, która właśnie przed chwilą przyjechała, spotkała się z nią na schodach, Lewin, czerwony cały od przyspieszonego biegu, przestał się ślizgać i zamyślił się, potem, po chwili odpasał łyżwy i przy wyjściu z ogrodu dopędził matkę i córkę.

— Rada jestem bardzo, że pana widzę — witała go księżna. — We czwartki, jak zwykle, przyjmujemy.

— A zatem dzisiaj?

— Bardzo nam będzie przyjemnie widzieć pana — odpowiedziała księżna z pewnym chłodem.

Ton, jakim matka odpowiedziała Lewinowi, uraził Kiti. Chcąc złagodzić trochę odpowiedź matki, odwróciła głowę ku Lewinowi i rzuciła mu krótkie: „Do widzenia”.

W tej chwili właśnie wchodził do ogrodu Stiepan Arkadiewicz, w kapeluszu na bakier, uśmiechnięty, z podniesioną głową. Przywitawszy się z teściową, z pewnym zakłopotaniem odpowiadał na pytania dotyczące zdrowia Dolly.

Porozmawiawszy chwilę z księżną, wyprostował się i ujął Lewina pod rękę.

— Jedziemy? — zapytał. — Myślałem o tobie i bardzo się cieszę, żeś przyjechał — mówił, patrząc mu znacząco w oczy.

— Jedźmy, jedźmy — odpowiedział uszczęśliwiony Lewin, któremu ciągle zdawało się, że słyszy głos jej, który powiedział mu: „do widzenia”, i że widzi uśmiech, którym Kiti go obdarzyła.

— Do Anglii czy też do Ermitażu? Wszystko mi jedno.

— Jedźmy więc do Anglii — zdecydował Stiepan Arkadiewicz, wybierając Anglię dlatego, że w niej był więcej winien niż w Ermitażu, uważał więc za niestosowne unikać tej restauracji.

— Masz dorożkę? To dobrze, gdyż ja odesłałem swoją karete.

Przyjaciele milczeli przez całą drogę. Lewin starał się domyśleć, co miała oznaczać ta nagła zmiana usposobienia Kiti, i chwilami wmawiał w siebie, iż może mieć nadzieję, że zostanie przyjęty. Chwilami zaś zaczynał rozpaczać i zdawało mu się, że nadzieja jego jest nierozsądna, a mimo to czuł się zupełnie innym człowiekiem, który nic nie miał wspólnego z tym dawnym, który istniał, zanim ona uśmiechnęła się i powiedziała: „do widzenia”.

Stiepan Arkadiewicz przez całą drogę układał w myśli menu obiadu.

— Czy lubisz turboty? — zapytał Lewina, gdy sanki zatrzymały się przed restauracją.

— Co? — odezwał się Lewin. — Turboty? Ja bardzo lubię turboty.

X

Lewin, wszedłszy do restauracji z Obłońskim, nie mógł nie zauważyć pewnego szczególnego wyrazu zadowolenia i radości, odbijającego się na twarzy i w całej postaci Stiepana Arkadiewicza. Obłoński zdjął palto i w kapeluszu na bakier wszedł do bufetu, wydając polecenia Tatarom we frakach, z serwetami w rękę, którzy ujrzawszy go, zbiegli się ku niemu. Kłaniając się na wszystkie strony znajomym, którzy i tutaj również, jak i wszędzie witali go radosnym uśmiechem, Stiepan Arkadiewicz podszedł do bufetu, zakąsił

wódkę kawałkiem ryby, powiedział parę słów do wymalowanej, ubranej we wstążki, koronki i falbanki Francuzki siedzącej za bufetem; musiał powiedzieć jej coś dowcipnego, gdyż nawet i ta Francuzka serdecznie się roześmiała. Lewin zaś dlatego tylko nie napił się wódki, gdyż czuł pewnego rodzaju wstręt ku Francuzce, która zdawała składać się cała z cudzych włosów, z ryżowego pudru i octu toaletowego. Odsunął się jak najdalej od niej, jak od niezczyszczzonego miejsca; cała istota jego była przepełniona wspomnieniem o Kiti i w oczach błyszczał mu uśmiech szczęścia i zwycięstwa.

— Niech jaśnie pan będzie łaskaw pozwolić tutaj — zapraszał, uwijając się koło nich stary Tatar z rozchodzącymi się połami fraka. — Służę jaśnie panu — zwrócił się ku Lewinowi, będąc przez szacunek dla Stiepana Arkadiewicza usługowym i dla jego gościa.

Położywszy czysty obrus na zasłanym już obrusem okrągłym stole, ponad którym zwieszał się brązowy świecznik, Tatar poprzysuwał aksamitne krzesła i z serwetą i kartą w ręku stanął przed Stiepanem Arkadiewiczem, oczekując jego rozkazów.

— Jeśli jaśnie pan rozkaże oddzielny gabinet, to w tej chwili będę nim służył. Księżę Golicyn z damą opuszczą go w tej chwili. Mamy świeże ostrygi.

— Ostrygi?!

Stiepan Arkadiewicz się zamyślił.

— Może by zmienić całe menu, mój kochany Lewinie? — odezwał się, wskazując palcem na kartę. Na jego twarzy odbijało się wahanie. — Czy ostrygi macie dobre?

— Flensburskie, jaśnie panie, ostendzkich nie mamy.

— Flensburskie, nie flensburskie, ale czy świeże?

— Wczoraj dopiero nadeszły.

— Zaczniemy może od ostryg, a potem zobaczymy. Jak ci się zdaje, Konstanty?

— Wszystko mi jedno. Zjadłbym kaszy i kapuśniaku, ale tutaj przecież nie mają tego.

— Może jaśnie pan każe sobie podać kaszy *à la russe*? — zapytał Tatar, schylając się nad Lewinem jak niańka nad dzieckiem.

— Będę jadł, co wybierzesz. Ślizgałem się i jestem głodny. Niech ci się nie zdaje, mój kochany — dodał, zauważywszy na twarzy Obłońskiego niezadowolenie — że nie potrafię ocenić twego wyboru. Z prawdziwą przyjemnością będę jadł.

— Ma się rozumieć! Niech tam sobie gadają, co chcą, lecz jest to jedna z niewielu przyjemności, jakie mamy w życiu — rzekł Stiepan Arkadiewicz. — Daj nam więc, mój kochany, dwa albo trzy tuziny ostryg, kupę z jarzyn...

— *Printanière* — odpowiedział Tatar, lecz Stiepan Arkadiewicz nie chciał sprawić mu przyjemności i nie nazywał potraw po francusku.

— Z jarzyn, potem turbota z gęstym sosem, potem rostbef... Tylko pamiętaj, aby był dobry. Potem kapłon i kompot.

Tatar, przypomniawszy sobie, że Stiepan Arkadiewicz nigdy nie nazywa potraw po francusku, nie powtarzał głośno ich nazw, lecz nie mógł odmówić sobie przyjemności powtórzenia po cichu: *soupe printanière, trubot sauce Beaumarchais, poularde à l'estragon...* Po czym podał Obłońskiemu kartę z winami.

— Cóż będziemy pili?

— Wszystko mi jedno, byle niezbyt dużo, chyba szampana — odpowiedział Lewin.

— Mamy zaczynać od szampana? A zresztą napijmy się. Czy lubisz z białą pieczętką?

— *Caché blanc* — przetłumaczył Tatar.

— Podaj tę markę do ostryg, a potem zobaczymy.

— Słucham. A do mięsa co mam podać?

— Chyba klasyczne *chably*.

— Dobrze. Czy ser ten sam co zawsze?

— Tak, daj nam parmezan. Może lubisz inny? — zapytał Obłoński Lewina.

— Niech będzie parmezan. Wszystko mi jedno — odrzekł Lewin, uśmiechając się nieznacznie.

Tatar pobiegł i po pięciu minutach powrócił z półmiskiem pełnym ostryg w skorupach i butelką, którą trzymał między palcami za szyjkę.

Stiepan Arkadiewicz zmiął serwetę, założył ją za kamizelkę i wziął się do ostryg.

— Wcale niezłe — pochwalił, wyjmując srebrnym widelcem ze skorupy drgające ostrygi. — Niezłe — powtórzył, spoglądając na Lewina i Tatara.

Lewin jadł ostrygi, choć zwyczajny chleb z serem smakowałby mu lepiej, lecz z prawdziwą przyjemnością przyglądał się Obłońskiemu. Nawet Tatar, odkorkowawszy butelkę i rozlewając pieniące się wino w złożone kieliszki, z widocznym uśmiechem zadowolenia poprawiając sobie biały krawat, spoglądał na Stiepana Arkadiewicza.

— Nie jesteś zapewne amatorem ostryg? — odezwał się Stiepan Arkadiewicz, popijając wino. — Lub też masz jakiś kłopot na głowie. Co? Przyznaj się!

Stiepan Arkadiewicz chciał, aby Lewin był wesoły, lecz Lewin, choć był w dobrym humorze, zdawał się zakłopotany, gdyż przykro mu było z tym, co miał na sercu, siedzieć w restauracji, w miejscu, do którego przychodzono z kobietami, wśród tego hałasu i gwaru. Całe otoczenie: brązy, lustra, gaz, Tatarzy, wszystko to raziło go. Bał się zabrukać to, co miał w duszy.

— Ja? Tak! Jestem zakłopotany, tym bardziej że to wszystko razi mnie — odparł. — Nie możesz sobie wyobrazić, jak mnie, mieszkańca wsi, wszystko wprawia w podziw. Nie dalej choćby jak paznokcie tego pana, którego widziałem u ciebie...

— Widziałem, że przyglądałeś się bardzo paznokciom tego nieboraka Hryniewicza — przerwał mu, uśmiechając się, Stiepan Arkadiewicz.

— Nic dziwnego — odpowiedział Lewin. — Zrozumiesz moje słowa, gdy będziesz patrzył z punktu widzenia mieszkańca wsi: my na wsi staramy się doprowadzić nasze ręce do takiego stanu, który by nam pozwolił zupełnie swobodnie pracować, dlatego też obcinamy paznokcie i czasami zakasujemy rękawy. A tutaj ludzie naumyślnie zapuszczają paznokcie, o ile można najdłuższe, i przyczepiają sobie spodki zamiast spinek, jak gdyby chodziło im o to, aby nie byli w stanie nic robić rękami.

Stiepan Arkadiewicz znów uśmiechnął się wesoło.

— Jest to tylko dowód, że praca rąk jest im niepotrzebna...

— Być może. Lecz w każdym razie dziwię się temu, jak i w tej chwili dziwię się, że tacy wieśniacy jak ja starają się zwykle jak najprędzej się nasyścić, aby być w stanie powrócić do pracy, a ty i ja dokładamy wszystkich starań, aby jak najdłużej się nie najeść i dlatego też jemy ostrygi...

— Ma się rozumieć — przerwał mu Stiepan Arkadiewicz — gdyż na tym polega cel cywilizacji, aby ze wszystkiego starać się robić sobie przyjemność.

— Jeśli tylko dlatego mam być cywilizowany, to wolę być dziki.

— Toteż i jesteś dziki. Wy wszyscy, Lewinowie, jesteście dzicy.

Lewin westchnął, gdyż przypomniał mu się brat Mikołaj. Zrobiło mu się przykro i się zachmurzył, lecz Obłóński w tej chwili rozpoczął rozmowę, która oderwała Lewina od bolesnych wspomnień.

— Czy pojedziesz dzisiaj wieczorem do naszych, to jest do Szczerbakich? — zapytał, odsuwając talerz z pustymi skorupami i przysuwając sobie ser.

— Muszę koniecznie dzisiaj być u nich — odpowiedział Lewin. — Choć zdaje mi się, że księżna tylko przez grzeczność mnie zapraszała.

— Co tam! Głupstwo! To jej zwykły sposób!... Podawaj no, mój kochany, zupę! To jej zwykły sposób... *grande dame* — tłumaczył Stiepan Arkadiewicz przyjacielowi. — Ja tam również będę, lecz najpierw muszę być na próbie śpiewów u hrabiny Boniny. Powiedz tylko sam, czyś ty nie dzikus? Jakżeż inaczej wytłumaczyć twój nagły wyjazd z Moskwy? Szczerbaccy wciąż pytali się mnie o ciebie, tak jakbym coś wiedział. A ja wiem tylko tyle, że zawsze postępujesz nie tak jak wszyscy.

— Masz rację — odpowiedział Lewin, powoli i z pewnym zakłopotaniem. — Masz rację, jestem dziki. Lecz wyjazd mój nie jest wcale tego dowodem, owszem, dopiero teraz, gdy znowu przyjechałem, złożyłem prawdziwy dowód mej dziwaczności. Przyjechałem zaś teraz...

— Jakiś ty szczęśliwy! — znów przerwał Lewinowi Stiepan Arkadiewicz, patrząc mu prosto w oczy.

— Dlaczego?

— Poznaję bystre konie po ich nozdrzach, zakochanych zaś młodzieńców po ich oczach... — żartował Stiepan Arkadiewicz.

— Przed tobą stoi otworem świat cały.

— A przed tobą czyżby już był zamknięty?

— Nie, jeszcze niezupełnie zamknięty, lecz ty masz jeszcze przyszłość przed sobą, a ja już żyję tylko teraźniejszością, i to w dodatku teraźniejszością niezbyt wesołą ani ciekawą...

— Dlaczego?

— Niezbyt ciekawą. A zresztą nie chcę mówić o sobie i wszystkiego powiedzieć ci nie mogę — odparł Stiepan Arkadiewicz. — Po co więc właściwie przyjechałeś do Moskwy? Sprzątaj — zawołał na Tatara.

— Czy nie domyślasz się? — zapytał Lewin, nie spuszczać ze Stiepana Arkadiewicza bystrego spojrzenia.

— Domyślam się, lecz nie wypada mi rozpoczynać tej rozmowy, z czego możesz zmiarkować, czy domysł mój jest słuszny, czy nie — rzekł Stiepan Arkadiewicz, patrząc przenikliwie na Lewina.

— Więc cóż mi powiesz? — zapytał Lewin niepewnym głosem, a pytając się czuł, że mu drżą wszystkie mięśnie twarzy. — Jakżeż zapatrujesz się na to?

Stiepan Arkadiewicz spokojnie dopił kieliszek *chably* i wciąż patrząc na Lewina, rzekł:

— Ja? Życzyłbym sobie z całego serca, gdyż byłoby to najlepiej.

— Czy tylko przypadkiem się nie mylisz? Czy wiesz, o czym mówimy? — dopytywał się Lewin, przenikając wzrokiem swego współbiesiadnika. — Więc naprawdę jesteś zdania, że się to stać może?

— Jestem zdania, że się to stać może. Dlaczego by się nie mogło stać?

— Ale czy naprawdę przypuszczasz, że się to stanie? Powiedz mi, co myślisz w głębi duszy. A jeśli... jeśli spotka mnie odmowa? Jestem nawet jej najzupełniej pewny...

— Dlaczego jesteś jej pewny? — Stiepan Arkadiewicz mimo woli się uśmiechnął, widząc zakłopotanie Lewina.

— Tak mi się jakoś zdaje chwilami. Lękam się odmowy i dla niej, i dla siebie.

— W każdym razie pannie nie grozi żadna nieprzyjemność. Każda panna jest dumna z oświadczyn.

— W istocie, każda panna, ale nie ona.

Stiepan Arkadiewicz uśmiechnął się, gdyż wiedział, że dla Lewina wszystkie panny na świecie dzielą się na dwa gatunki: pierwszy, wszystkie panny na świecie, oprócz niej, i panny te mają wszystkie ludzkie wady i niczym się nie wyróżniają z szarego ogółu; drugi zaś gatunek, ona jedna, niemająca żadnej wady i górująca nad całą ludzkością.

— Zaczekaj, weź trochę sosu — rzekł Stiepan Arkadiewicz, biorąc Lewina za rękę, którą odsuwał naczynie z sosem.

Lewin wziął sosu, lecz nie dawał jeść Stiepanowi Arkadiewiczowi.

— Zaczekaj. Zrozum, że jest to dla mnie kwestia życia i śmierci! Nigdy z nikim nie rozmawiałem o tym i z nikim, tylko z tobą, mogę o tym mówić. Na pierwszy rzut oka jesteśmy zupełnie obcy dla siebie, gdyż mamy różne poglądy i różne upodobania. Lecz ja wiem, że ty kochasz mnie i rozumiesz, więc i ja kocham cię bardzo. Lecz, na miłość boską, bądź najzupełniej szczerzy.

— Mówię ci tylko to, co myślę — odrzekł, uśmiechając się znów, Stiepan Arkadiewicz. — Lecz co więcej, powiem ci, moja żona najlepsza w świecie kobieta... — Stiepan Arkadiewicz westchnął, przypomniał sobie żonę, i pomilczawszy chwilę, mówił dalej: — Moja żona ma dar przewidywania, widzi ludzi na wskroś i wie zawsze, co się zdarzy, zwłaszcza co do ślubów przeczucia nigdy jej nie mylą. Przepowiedziała na przykład, że Szachowska wyjdzie za Breutelna. Nikt nie chciał w to wierzyć, a jednak małżeństwo to doszło do skutku. A Dolly jest za tobą.

— A to w jaki sposób?

— W taki mianowicie, że nie tylko lubi cię bardzo, lecz powiada, że Kiti musi koniecznie być twoją żoną.

Lewin na te słowa Obłońskiego uśmiechnął się tym uśmiechem, który zwykle poprzedza łyż rozrzewnienia.

— Twoja żona tak mówi! — zawołał Lewin. — Zawsze mówiłem, że twoja żona to doskonałość. Lecz dosyć już tych rozmów — dodał po chwili i podniósł się z krzesła.

— Dobrze, ale siądź jeszcze na chwilę.

Lecz Lewin nie mógł usiedzieć na miejscu, przeszedł się dwa razy po ciasnym gabinecie i mrużył oczy, żeby zatrzymać łyż, które się w nich zakręciły, po czym usiadł na swoim poprzednim miejscu.

— Zrozum — zaczął mówić — że to nie jest miłość. Kochałem się, ale to jest co innego. To nie miłość, ale jakaś zewnętrzna potęga mną owładnęła. Wyjechałem, gdyż doszedłem do przekonania, że to nigdy miejsca mieć nie może, również jak i zupełne szczęście, którego nigdy nie ma na ziemi. Walczyłem ze sobą długo, lecz im dłużej walczyłem, tym bardziej upewniałem się, że nie ma dla mnie bez tego przyszłości, życia...

— Po co żeś wyjeżdżał?

— Poczekaj! Tyle myśli ciśnie mi się do głowy! Tyle pytań muszę ci zadać! Słuchaj mnie, nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, jaką przysługę i łaskę wyrządziłeś mi, mówiąc o tym wszystkim. Czuję się tak szczęśliwy, że nawet staję się zły. Zapomniałem o wszystkim. Dzisiaj dowiedziałem się, że brat mój Mikołaj... znasz go przecież, jest tutaj... zapomniałem i o nim nawet, gdyż zdaje mi się, że i on musi być szczęśliwy. Jestem jakby w pewnego rodzaju oblędzie. Jednej tylko rzeczy się lękam... Ty już się ożeniłeś, znasz więc zapewne to uczucie... lękam się, że my, ludzie nie pierwszej już młodości, mamy już za sobą przeszłość bogatą nie w miłość, ale w grzechy... i nagle zbliżamy się do istoty czystej, niewinnej. Jest to wstrętne i dlatego też każdy z nas musi uważać się za niegodnego.

— Ty przecież masz niewiele grzechów na sumieniu.

— W każdym razie — odparł Lewin — ze wstrętem odwracam się od mej przeszłości, lękam się jej, przeklinam ją i gorzko żałuję...

— Tak zawsze bywa na świecie, nic na to nie poradzimy — uspokajał go Stiepan Arkadiewicz.

— Pociesza mnie tylko ta modlitwa, którą zawsze lubilem, że nie według mych zasług, lecz według miłosierdzia będę sądzony, może więc i ona mi wybaczy.

XI

Lewin wypił swój kieliszek i obaj na jakiś czas zamilkli.

— O jednym tylko muszę ci jeszcze powiedzieć. Znasz Wrońskiego? — zapytał Stiepan Arkadiewicz.

— Nie, nie znam. Dlaczego mnie o to pytasz?

— Podaj drugą butelkę — zwrócił się Stiepan Arkadiewicz do Tatara, który chciał napełniać kieliszki i kręcił się bez ustanku koło stołu, właśnie wtedy gdy był najmniej potrzebny.

— Dlatego, że powinieneś wiedzieć o tym, że Wroński to jeden z twych współzawodników.

— Co to za jeden ten Wroński? — zapytał Lewin i w jego oczach, przed chwilą tak dziecięco naiwnych, którymi tak się zachwycił Obłonski, nagle błysnął zły i nieprzyjemny wyraz.

— Wroński jest synem hrabiego Cyryla Iwanowicza Wrońskiego, jednym z najlepszych typów petersburskiej złotej młodzieży. Poznałem go w Twerze, gdy tam służył, a on przyjeżdżał do poboru wojskowego. Nadzwyczaj bogaty, przystojny, z ogromnymi stosunkami, fligeladiutant, a przy tym nadzwyczaj przyjemny i dobry człowiek. Gdy go tutaj, w Moskwie, poznałem bliżej, przekonałem się, że jest nie tylko dobrym, ale też nadzwyczaj wykształconym i rozumnym człowiekiem. Bezwarunkowo należy on do tych, którzy zachodzą daleko.

Lewin marszczył się i słuchał.

— Zjawił się tutaj niedługo po twoim wyjeździe i jestem o tym głęboko przekonany, że po uszy zakochał się w Kiti. Matka zaś, jak to łatwo zrozumiesz...

— Wybacz mi, lecz nic nie rozumiem — przerwał mu Lewin, krzywiąc się. Od razu przypomniał sobie brata Mikołaja i zaczął robić sobie wyrzuty, że o nim zapomniał.

— Poczekaj chwilkę — odpowiedział Stiepan Arkadiewicz, biorąc go za rękę — powiedziałem ci to, co wiem, i powtarzam, że w całej tej zawilej serdecznej sprawie, o ile ja się domyślam, szanse wygrania są po twojej stronie.

Lewin oparł się o poręcz krzesła, twarz jego pokryła się bladością.

— Radziłbym ci jednak działać o ile to możliwe prędko — mówił w dalszym ciągu Obłoński, dopełniając kieliszek Lewina.

— Nie, dziękuję, więcej już pić nie mogę — rzekł Lewin, odsuwając swój kieliszek — gdyż bym się upił. A tobie jak się powodzi? — zapytał, chcąc widocznie zmienić temat rozmowy.

— Jeszcze słówko. W każdym razie radzę ci rozstrzygnąć prędko tę sprawę. Dzisiaj nie mów lepiej nic o tym, lecz idź jutro rano, oświadczyć się klasycznie i niech ci Bóg błogosławi...

— Wybierasz się do mnie ciągle na polowanie, przyjedź na wiosnę — odezwał się Lewin.

Teraz Lewin żałował bardzo, że rozpoczął tę rozmowę ze Stiepanem Arkadiewiczem, gdyż zdawało mu się, że czysty obraz Kiti, który nosił w duszy, może być skalany rozmową o współzawodnictwie jakiegoś petersburskiego oficera oraz domysłami i radami Stiepana Arkadiewicza.

Stiepan Arkadiewicz uśmiechnął się, gdyż rozumiał i współczuł Lewinowi.

— Przyjadę kiedykolwiek — odparł. — Tak, mój kochany, kobiety to oś, wokół której wszystko się obraca. I ze mną też jest źle, bardzo źle, a wszystko przez kobiety. Powiedz mi szczerze — mówił dalej, wyjmując cygaro i biorąc kieliszek. — Daj mi radę.

— Jaką?

— Przypuśćmy, że jesteś żonaty, że kochasz żonę, lecz zająłeś się inną kobietą...

— Wybacz mi, lecz ja stanowczo nie pojmuję tego, jak... jak na przykład nie pojmowałbym, gdybym najadłszy się teraz, ukradł kołacz, przechodząc koło sklepu z pieczywem.

Oczy Stiepana Arkadiewicza błyszczały jeszcze bardziej niż zwykle.

— Dlaczego? Kołacz czasami tak pachnie, że trudno się oprzeć...

Himmlich ist's, wenn ich bezwungen

Meine irdische Begier;

Aber doch ivenn's nicht gelungen,

Hatt ich auch recht hübsch Plaisir!

Deklamując, Stiepan Arkadiewicz uśmiechał się przebiegle, lecz Lewin również nie mógł wstrzymać uśmiechu.

— Tak, ale bez żartów — mówił dalej Obłoński. — Zrozum, że kobieta jest miłym, łagodnym, kochającym stworzeniem, które samo, będąc biedne i samotne, wszystko poświęca. Obecnie, już po wszystkim, czyż mam ją porzucić? Przypuśćmy, że rozstanę się z nią, lecz czyż mi nie wolno litować się nad nią i zająć się jej losem?

— Wybacz mi, lecz wiesz, że dla mnie wszystkie kobiety dzielą się na dwie kategorie... wyraźniej mówiąc... są kobiety i są... Uroczych upadłych istot nie widziałem i nie będę widział, a podobne do tej Francuzki, co siedzi za bufetem, są to tylko moim zdaniem gadziny, tak jak i wszystkie kobiety upadłe.

— A niewiasta z Ewangelii?

— Daj spokój! Gdyby Chrystus wiedział, jak ludzie nadużywać będą tych jego słów, nigdy by ich nie wyrzekł! Świat pamięta tylko te słowa z całej Ewangelii. Ja zresztą mówię nie to, co myślę, ale co czuję. Mam wstręt do kobiet upadłych. Ty lękasz się pajaków, a ja tych gadzin. Zapewne nie studiowałaś bliżej pajaków, a ja tych gadzin.

— Dobrze ci tak mówić. Jesteś podobny do tego jegomościa z roman-su Dickensa, co to lewą ręką przerzuca przez prawe ramię każdą nieprzyjemność. Lecz zaprzeczanie jakiemuś faktowi nie jest nań odpowiedzią. Powiedz mi, proszę cię, co mam robić. Postaw się w moim położeniu. Żona się starzeje, a ty jesteś pełen życia. Nie zdążysz się obejrzeć, a już widzisz, że nie możesz kochać żony prawdziwą miłością, pomimo że ją nadzwyczaj szanujesz. Nagle natkniesz się na stworzenie, które ci się podoba, które pokochasz i wtedy przepadłeś z kretelem! — z rozpaczą w głosie tłumaczył się Stiepan Arkadiewicz.

Lewin się uśmiechnął.

— Tak, przepadłeś — mówił dalej Obłoński. — Lecz cóż robić?

— Nie kraść kołaczy!

Stiepan Arkadiewicz się roześmiał.

— O moralisto! Lecz zrozum, że są dwie kobiety: jedna wymaga tylko praw swoich, a prawa te rozciągają się na twoją miłość, której jej dać nie możesz, druga zaś poświęca ci wszystko i nic w zamian nie żąda. Cóż mam robić w takim razie? Jak postąpić? W takich wypadkach dochodzi do przykrego dramatu.

— Jeśli chcesz mojej szczerzej odpowiedzi, to powiem ci, że nie wiem, aby w tym wszystkim krył się jakikolwiek dramat, dlatego że według mnie miłość... oba rodzaje miłości, które Plato określa w swej *Uczcie*, jest

kamieniem probierczym ludzi. Jedni pojmują tylko jedną z nich, drudzy drugą. Ci, którzy pojmują tylko miłość nieplatoniczną, na próżno mówią o dramatach, gdyż w miłości takiej nie może być dramatu. „Dziękuję naj-
unieżeniej za przyjemność, moje uszanowanie”. Ot i cały dramat! A w plato-
nicznej miłości dramat miejsca mieć nie może, gdyż wszystko jest w niej
szczerze i czyste, gdyż...

Lecz w tej chwili Lewin przypomniał sobie o swych dawnych grzechach
i o wewnętrznej walce, przez którą przeszedł, i po chwili dodał: — Kto wie
zresztą... może masz rację... Lecz ja nie wiem, stanowczo nie wiem...

— Widzisz... ty jesteś człowiekiem zasad. Jest to twoja zaleta, lecz za-
razem i wada. Sam masz dużo zasad i wymagasz od życia, aby i ono skła-
dało się z zasadniczych zjawisk, a to rzadko kiedy się zdarza. Ty wymagasz,
aby działalność człowieka zawsze miała cel przed sobą, żeby miłość i życie
rodzinne zawsze były jednakowe, a to wszystko zdarza się bardzo rzadko,
prawie nigdy. Cała różnorodność, cała krasa, cały urok życia składa się z kon-
trastów, ze światła i cieni.

Lewin westchnął i nic na to nie odrzekł, zamyślił się i nie słuchał
Obłońskiego.

I nagle obaj poczuli, że choć są przyjaciółmi, choć jedli razem obiad
i pili wino, które powinno było jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyć, że każ-
dy z nich myśli tylko o sobie, a jeden nic drugiego nie obchodzi. Obłoński
nie raz już doznawał tego wrażenia, które dość często ogarnia po obiedzie,
i wiedział, co trzeba robić w takich razach.

— Rachunek! — zawołał na służbę i wyszedł do sąsiedniego pokoju,
gdzie spotkał zaraz znajomego adiutanta, z którym zaczął rozmawiać o jed-
nej z aktorek i o jej opiece.

Podczas rozmowy z adiutantem Stiepan Arkadiewicz odetchnął po
rozmowie z Lewinem, który zawsze zmuszał go do zbyt wielkiego umysłowo-
wego wysiłku.

Gdy nadszedł Tatar z rachunkiem na dwadzieścia sześć rubli z kopiej-
kami i dodatkiem na napiwek, Lewin, którego kiedy indziej oburzyłaby,
jako mieszkańca wsi, przypadająca na niego suma czternastu rubli, teraz
nie zwrócił na to uwagi. Zapłacił i pojechał do domu przebrać się na wie-
czór do Szczerbackich, na którym miały się rozstrzygnąć jego losy.

XII

Księżniczka Kiti Szczerbacka miała osiemnaście lat, matka wywoziła ją dopiero od roku. Powodzenia w świecie miała więcej niż jej obydwie siostry, więcej nawet niż sama księżna się spodziewała, gdyż nie tylko cała młodzież, bywająca w Moskwie na balach, była zakochana w Kiti, lecz zaraz w ciągu pierwszego karnawału trafiły się jej dwie bardzo poważne partie: Lewin i zaraz po jego odejździe hrabia Wroński. Przyjazd Lewina w pierwszych dniach zimy, częste jego bywanie oraz widoczne zakochanie się w Kiti dały powód do pierwszej poważniejszej rozmowy pomiędzy rodzicami Kiti co do jej przyszłości i do sprzeczek między księciem a księżną. Księżę był za Lewinem i dowodził, że niczego lepszego nie można sobie życzyć dla Kiti. Księżna zaś ze zwykłym kobietom zwyczajem niestawiania jasno kwestii twierdziła, że Kiti jest jeszcze za młoda, że Lewin nie odezwał się nigdy poważniej o swych zamiarach, że Kiti nie jest do niego przywiązana i wymieniła dużo najrozmaitszych powodów. Lecz nigdy nie wspomniała o najgłówniejszym, a mianowicie, że liczy na stosowniejszą partię dla córki i że dla niej, księżnej, Lewin nie jest sympatyczny. Po wyjeździe Lewina, który tak nagle nastąpił i który ją ucieszył, księżna z tryumfem mówiła do męża: „Widzisz, ja miałam rację!”, lecz jeszcze bardziej uradowała się, gdy Wroński zaczął bywać w ich domu, gdyż księżna utwierdziła się w mniemaniu, że Kiti powinna zrobić nie tylko dobrą, ale nawet i świetną partię.

Zdaniem matki nie można nawet było porównywać Lewina z Wrońskim, gdyż raziły ją w Lewinie jego dziwne i czasami zbyt surowe poglądy i jego nieobyte w świecie, które przypisywała dumie Lewina. Wreszcie jego dzikie, jak się wyrażała, życie na wsi, gdzie całe dnie spędzał między bydłem i chłopami. Nie podobało jej się również, że Lewin, chociaż był zakochany w Kiti, bywał w ich domu przeszło półtora miesiąca i zdawał się namyślać, jak gdyby wahał się, przypuszczając może, że uczyni domowi Szczerbackich zbyt wielki zaszczyt, oświadczając się o rękę Kiti. Wreszcie drażniło księżną, że Lewin nie domyślał się, że bywając w domu, gdzie jest panna na wydaniu, należy dać poznać swe zamiary. Nagle Lewin wyjechał. „Bogu dzięki, jest tak mało pociągających, że Kiti nie mogła się w nim zakochać” — pomyślała księżna.

Wroński czynił zadość wszystkim widokom matki, jako człowiek bardzo bogaty, rozumny, dobrego rodu, mający przed sobą świetną wojskowo-dworską karierę. Księżna wiedziała, że niczego lepszego spodziewać się nie może dla swej najmłodszej córki.

Wroński na balach starał się widocznie o względy Kiti, tańczył z nią, bywał u nich, nie można więc było wątpić, że ma poważniejsze zamiary, lecz pomimo to matka przez całą zimę była bardzo niespokojna.

Księżna wyszła za mąż trzydzieści lat temu, wyswatała ją jedna z ciotek. Narzeczony, o którym już poprzednio wszystko wiadano, przyjechał, zobaczył pannę i sam dał się jej poznać. Ciotka swatka dowiedziała się i powiedziała o wzajemnie doznanym wrażeniu: okazało się, że młodzi podobali się sobie. Potem w oznaczony dzień nastąpiły oczekiwane przez rodziców urzędowe oświadczyzny, które też zostały przyjęte. Wszystko odbyło się bardzo łatwo i zwyczajnie, tak się przynajmniej zdawało obecnie księżnej. Lecz na swych własnych córkach przekonała się księżna, do jakiego stopnia zagmatwana i niełatwa jest ta tak na pozór zwyczajna sprawa: wydawanie córek za mąż. Ile to było strachu, ile namysłu, ile pieniędzy wydać trzeba było, ile nieporozumień z mężem przy wydawaniu za mąż dwóch starszych córek: Darii i Natalii! Teraz przy wydawaniu młodszej ten sam strach, te same wątpliwości i jeszcze większe niż dawniej nieporozumienia z mężem. Stary książę, jak zwykle wszyscy ojcowie, był nadzwyczaj drażliwy na punkcie reputacji swych córek i był zazdrosny o nie, zwłaszcza o Kiti, którą najbardziej kochał, i na każdym kroku robił żonie sceny za to, że kompromituje mu córkę. Księżna była już przyzwyczajona do tego przy wydawaniu za mąż starszych córek, lecz sama przed sobą przyznawała się, że obecna drażliwość księcia ma więcej uzasadnionych podstaw. Księżna zauważyła, że świat w ostatnich czasach zmienił się pod wieloma względami i że obowiązki matki stały się jeszcze trudniejsze. Widziała, że rówieśnice Kiti zawiązują jakieś stowarzyszenia, że uczęszczają na jakieś wykłady, że rozmawiają bez najmniejszego skrępowania z mężczyznami, że same wychodzą na miasto i że, co najważniejsze, wszystkie są zdania, że wybór męża zależy tylko od nich, a nie od rodziców. „Obecnie już nie wydają tak za mąż, jak dawniej”, myślały i mówiły wszystkie te młode panny, a nawet i wszyscy starsi i poważniejsi ludzie. Lecz jak obecnie wydają za mąż, tego księżna nie mogła od nikogo się dowiedzieć. Francuski zwyczaj, że rodzice stanowią o losach dzieci, nie miał uznania i krytykowano go. Angielski zwyczaj pozostawienia

pannie kompletnej swobody również nie był przyjęty i w rosyjskim społeczeństwie był zupełnie niemożliwy. Rosyjski zwyczaj swatania uważano za coś wstrętnego, wszyscy wyśmiewali to, a razem z innymi i księżna. Lecz jak należy wychodzić i wydawać za mąż, tego nikt nie wiedział. Każdy, z kim księżnej zdarzało się rozmawiać o tym, mówił: „Ależ na miłość boską! Czas już zapomnieć o tym anachronizmie. Przecież to młodzi pobierają się, a nie rodzice, a zatem należy pozostawić młodym pełną swobodę postępowania”. Tym, co nie mieli córek, nic nie szkodziło tak mówić, księżna jednak wiedziała, że córka jej, poznawszy kogoś bliżej, może się w nim zakochać i zakochać się w tym właśnie, który nie zechce się żenić lub nie będzie mógł zostać jej mężem. I chociaż tyle już osób mówiło księżnej, że w naszych czasach młodzi ludzie sami powinni myśleć o swym losie, księżna jednak nie mogła temu wierzyć, równie jak nie mogłaby wierzyć, że nabite pistolety są najodpowiedniejszą zabawką dla pięcioletnich dzieci. Wszystko to było powodem, że księżna była bardziej niespokojna o Kiti niż o starsze córki.

Obecnie księżna lękała się, aby Wroński nie ograniczył się tylko do chęci przypodobania się Kiti, gdyż zauważyła, że Kiti już się w nim zakochała. Księżna jednak pocieszała się tym tylko, że Wroński jest człowiekiem uczciwym, który wie, jak ma się zachować, lecz zarazem wiedziała, że przy obecnej swobodzie zachowywania się łatwo jest zwrócić na siebie uwagę panny i że pod tym względem mężczyźni w ogóle są nader lekkomyślni. W zeszłym tygodniu Kiti opowiedziała matce o rozmowie, jaką miała z Wrońskim podczas mazura. Wroński powiedział Kiti, że on i jego brat do tego stopnia przyzwyczaili się ulegać we wszystkim matce, że nigdy nie podejmują nic ważniejszego bez jej porady: „I teraz oczekuję na przyjazd matki z Petersburga jak na największe szczęście” — dodał ze znaczącym spojrzeniem.

Kiti powtórzyła to matce, nie przywiązując żadnej wagi do słów Wrońskiego, lecz matkę wiadomość ta zainteresowała bardzo, gdyż wiedziała, że stara hrabina jest lada dzień oczekiwana, że matka Wrońskiego będzie zadowolona z wyboru syna. Dziwiła się tylko, że Wroński odwieka oświadczyły, jakby bojąc się matki. Księżna Szczerbacka tak usilnie pragnęła, żeby to małżeństwo doszło do skutku i żeby jej kłopoty się skończyły, że wierzyła już temu wszystkiemu. Księżnej przykro było patrzeć na najstarszą swą córkę Dolly, mającą zamiar rozejść się z mężem i cierpiącą z tego powodu bardzo, lecz niepewność, jak się rozstrzygnie los najmłodszej, pochłaniała ją zupełnie. Niepokój jej wzrósł z chwilą przyjazdu Lewina, gdyż bała się, aby Kiti,

która, jak się zdawało, przez pewien czas była zajęta Lewinem, nie odrzuciła przez zbytnią uczciwość oświadczyn Wrońskiego, i w ogóle, żeby przyjazd Lewina nie utrudnił i nie wstrzymał całej sprawy, mającej się już ku końcowi.

— Kiedyż on przyjechał? — zapytała księżna po powrocie do domu.

— Dzisiaj, *maman*.

— Chciałam ci powiedzieć... — zaczęła księżna i Kiti domyśliła się zaraz z poważnego wyrazu twarzy matki, o czym będzie mowa.

— Mamo — odpowiedziała, zaczerwieniwszy się, zwracając się ku matce — na miłość boską, nie mów mi o tym. Ja wiem, wiem wszystko.

Życzenia Kiti były zgodne z życzeniami matki, lecz główny powód, którym kierowała się matka, oburzał ją.

— Chciałam ci tylko zwrócić uwagę, że gdy się uczyni nadzieję jednemu...

— Mamo moja kochana, niech mama nie mówi o tym, ja lękam się słuchać...

— Nie będę już nic mówiła — odpowiedziała matka, ujrawszy łzy w oczach Kiti. — Obiecałaś, że nie będziesz mieć żadnej tajemnicy przede mną. Wszak prawda?

— Nigdy, kochana mamo, żadnej — odparła Kiti, cała rumieniąc się i patrząc prosto w oczy matce. — Lecz obecnie nie mam nic do powiedzenia. Ja... ja... gdybym nawet chciała, to nie wiedziałabym, co i jak... nie wiem...

„Gdyby mówiła nieprawdę, nie miałyby takich oczu” — pomyślała księżna i uśmiechnęła się, widząc do jakiego stopnia Kiti jest zakłopotana i szczęśliwa. I znów księżna uśmiechnęła się na myśl, jak Kiti przejęta jest tym, co dzieje się teraz w jej duszy.

XIII

Kiti przez całe poobiedzie do samego wieczoru była w tym stanie, w jakim bywa młody człowiek przed bitwą: czuła mocne bicie serca i nie mogła skupić myśli. Wiedziała, że wieczór dzisiejszy, gdy oni obydwaj po raz pierwszy się spotkają, rozstrzygnie o jej losie, i ciągle przedstawiała sobie w wyobraźni to każdego z nich oddzielnie, to znów ich obydwu razem.

Gdy myślała o przeszłości, to z przyjemnością i rozrzewnieniem wspominała Lewina. Wspomnienia dzieciństwa i wspomnienia przyjaźni Lewina ze zmarłym jej bratem dodawały szczególnego poetycznego uroku ich stosunkowi. Miłość Lewina, której była pewna, pochlebiała jej i cieszyła ją, wspomnienie o Lewinie było dla niej przyjemne. Do wspomnień o Wrońskim dołączała się jakaś fałszywa nuta, chociaż Wroński był nadzwyczaj światowym i na swoim miejscu człowiekiem. Zdawało się jej, że było coś fałszywego, nie w nim, gdyż on był bardzo naturalny, lecz w niej samej, w stosunku zaś jej do Lewina wszystko było tak szczere i czyste. Lecz za to, ile tylko razy wspomniała o swej przyszłości z Wrońskim, widziała ją w perspektywie zupełnego szczęścia, przyszłość zaś z Lewinem przedstawiała się mgliście.

Wszedłszy na górę do swego pokoju, aby ubrać się na wieczór, Kiti z przyjemnością zauważyła, że jest w jednym z lepszych swoich dni i że panuje najzupełniej nad sobą. Panowanie zaś nad sobą było jej niezbędne wobec tego, co ją czekało: czuła w sobie wewnętrzny spokój, czuła, że nic nie krępuje swobody jej ruchów.

O wpół do ósmej, jak tylko weszła do zupełnie jeszcze pustego salonu, lokaj zameldował: „Konstanty Dmitriewicz Lewin”. Księżna ubierała się jeszcze, księcia również nie było. „Stało się”, pomyślała Kiti i poczuła przyspieszone bicie serca, spojrzała w lustro i przeraziła się, ujrzawszy w nim swą twarz pokrytą bladością. Teraz pewna już była, że Lewin naumyślnie tak wcześniej przyjechał, aby zastać ją samą i oświadczyć się, teraz dopiero rzecz cała przedstawiła się jej z innej, zupełnie nowej strony. Teraz dopiero zrozumiała, że sprawa ta dotyczy nie tylko jej osobiście, z kim ma być szczęśliwa i kogo będzie kochać, lecz że za chwilę będzie musiała wyrzucić przykrość człowiekowi, którego lubi i który jest dla niej nadzwyczaj sympatyczny. I to wyrzucić wielką przykrość. Za co? Za to, że on ją kocha... lecz trudno... tak powinno i tak musi być.

„Mój Boże, czyż ja sama mam mu to powiedzieć?” — pomyślała. „Czyż mam mu powiedzieć, że go nie kocham? Będzie to kłamstwem. Cóż mam mu powiedzieć? Czy że kocham innego? Nie będę mu mogła tego powiedzieć. Chyba odejdę...”

Kiti zbliżała się już ku drzwiom, gdy dały się słyszeć jego kroki. „Nie! To by nie było uczciwe. Czegóż mam się lękać? Nic złego nie zrobiłam. Co ma się stać, niech się stanie! Powiem mu całą prawdę, z nim należy

być szczerą! Otóż i on!” — mówiła sobie, ujrawszy jego silną, onieśmieloną postać z błyszczącymi, utkwionymi w nią oczyma. Spojrzała mu prosto w oczy, jakby błagając go o zmiłowanie nad sobą, i podała mu rękę.

— Przyszedłem nie w porę, zdaje się, że za wcześnie — przemówił Lewin, rozglądając się po pustym salonie. Gdy zobaczył, że przewidywania jego sprawdziły się i że nikt nie będzie mu przeszkadzał w wypowiedzeniu wszystkiego, co mu leżało na sercu, twarz jego nabrała posępnego wyrazu.

— O, wcale nie — odrzekła Kiti i siadła przy stole.

— Życzyłem sobie bardzo zastać panią samą — zaczął, nie biorąc krzesła i nie patrząc na nią, żeby nie onieśmielać się jej widokiem.

— Mama w tej chwili nadejdzie, zmęczyła się wczoraj bardzo, wczoraj... — mówiła, sama nie wiedząc, co mówią jej usta, i nie spuszczała z niego błagalnego i pieszczotliwego spojrzenia.

Lewin spojrzał na nią, Kiti zaczerwieniła się i zamilkła.

— Powiedziałem pani, że nie wiem, czy na długo przyjechałem... gdyż zależy to od pani...

Coraz niżej i niżej pochylała głowę, nie wiedząc, jaką da odpowiedź na to, co zaraz miało nastąpić.

— Zależy to od pani — powtórzył. — Chciałem powiedzieć... chciałem powiedzieć... Po to przyjechałem... chciałem zapytać... zapytać się... Być moją żoną! — wymówił, sam nie wiedząc, co mówi, lecz ujrawszy, że to, co wydawało mu się najstraszniejsze, już powiedział, przestał mówić i popatrzył na nią...

Ona oddychała ciężko, nie patrząc na niego. Dusza jej przepełniona była szczęściem. Nie spodziewała się, że wypowiedziana miłość jego wywrze na niej takie wrażenie. Lecz trwało to tylko przez chwilę. Przypomniała sobie Wrońskiego. Podniosła na Lewina swe jasne, szczerze oczy i spojrzawszy na jego wyraz twarzy, na której malowała się zupełna rezygnacja, odpowiedziała prędko:

— To nie może być... niech mi pan wybaczy.

Chwilę temu była mu tak bliska i droga, chodziło mu o nią więcej niż o własne życie; obecnie zaś stała mu się obojętna i obca zupełnie!

— Nie mogło być inaczej — odezwał się, nie patrząc na nią.

Uklonił się i chciał odejść.

XIV

Lecz w tej samej chwili weszła księżna. Znać było po niej, że zatrzwożyła się, gdy zobaczyła córkę sam na sam z Lewinem, oboje tak pomieszanych. Lewin uklonił się jej i nic nie powiedział. Kiti milczała, nie podnosząc oczu. „Bogu dzięki, odmówiła mu”, pomyślała matka i twarz jej rozjaśniła się zwykłym uśmiechem, którym co czwartek witała gości. Siadła i zaczęła wypytывать Lewina, co porabia i jak spędza czas na wsi. Lewin usiadł również, oczekując na przybycie gości, aby potem wyjść niepostrzeżenie.

Pięć minut później weszła przyjaciółka Kiti, hrabina Nordston, która rok temu wyszła za mąż.

Była to kobieta sucha, z czarnymi błyszczącymi oczyma, chorowita i nerwowa. Lubiła bardzo Kiti i przyjaźń jej, jak zawsze przyjaźń mężatek ku panom, objawiała się w chęci wydania Kiti za mąż według swego ideału, którym dla hrabiny Nordston był Wroński, Lewina zaś, którego w początkach zimy często spotykała u Szczerbackich, hrabina nie lubiła. Stałym i ulubionym jej spędzaniem czasu przy spotkaniu z Lewinem było żartowanie sobie z niego.

— Lubię bardzo, gdy spogląda na mnie ze swej wysokości, gdy przerywa ze mną swą mądrą rozmowę, dlatego żem głupia, lub też zniża się ku mnie łaskawie. Bardzo to lubię, zniża się! Cieszę się bardzo, że nie znosi mnie — mawiała hrabina Nordston o Lewinie.

I miała rację, gdyż rzeczywiście Lewin nie mógł jej znieść i pogardzał nią za to właśnie, czym ona chełpiła się i co miała sobie za zasługę, a mianowicie za jej nerwy, za wyniosłą pogardę i za absolutną obojętność dla wszystkiego, co tylko miało związek z rzeczywistym życiem.

Pomiędzy Nordston a Lewinem utrwalił się stosunek dość często spotykany w salonach, polegający na tym, że dwoje ludzi, zachowując pozory przyjaźni, pogardza sobą nawzajem do tego stopnia, że nie są nawet w stanie traktować się na serio i że jeden nie może obrazić drugiego.

Hrabina Nordston od razu zaczęła żartować z Lewina.

— O! Konstanty Dmitriewicz! Znowu przyjechałeś pan do naszego przewrotnego Babilonu — odezwała się, podając mu drobną żółtą rączkę na powitanie i przypominając sobie powiedzenie jęgo, że Moskwa jest

Babilonem. — Czyżby Babilon poprawił się, czy też pan się zepsuł? — dodała, spoglądając na niego z uśmiechem.

— Pochlebia mi, hrabino, że pamiętasz tak dobrze me słowa — odpowiedział Lewin, który miał już czas odzyskać równowagę, zwykłym tonem, którym odzywał się do hrabiny. — Widocznie słowa me wywierają na pani wrażenie.

— Ależ ma się rozumieć. Zapisuję je zawsze! A ty, Kiti, byłaś dziś na ślizgawce?... — I zaczęła rozmawiać z Kiti.

Chociaż Lewinowi nie wypadało wychodzić teraz, był na to zdecydowany, gdyż było mu nadzwyczaj przykro spędzać cały wieczór z Kiti i patrzeć na nią. Kiti od czasu do czasu spoglądała na niego i unikała jego wzroku. Lewin chciał wstać i wyjść, lecz księżna, zauważywszy jego milczenie, zwróciła się do niego.

— Czy pan na długo przyjechał do Moskwy? Zdaje się, że pan pracuje w ziemstwie i nie ma dużo czasu?

— Nie, księżno, już nie jestem członkiem w ziemstwie — odparł. — Przyjechałem tylko na parę dni.

„Musiało mu się coś stać” — pomyślała hrabina Nordston, przypatrując się surowemu i poważnemu wyrazowi jego twarzy. „Nie zaczyna jakoś swych mądrych dowodzeń. Lecz ja muszę zacząć z nim rozmawiać. Nadzwyczaj lubię wystrychnąć go na dudka wobec Kiti i muszę to dzisiaj koniecznie zrobić!”

— Konstanty Dmitriewiczu — zwróciła się ku niemu — zechciej mi pan wytłumaczyć jedną rzecz, pan znasz się tak na wszystkim. W majątku naszym, w kałuskiej guberni, wszyscy chłopci i wszystkie baby, jednym słowem wszyscy, przepili wszystko, co tylko mieli, i nic nam teraz nie chcą płacić. Co to ma być? Pan zawsze tak chwali chłopów.

W tej chwili jeszcze jedna z pań weszła do salonu i Lewin wstał.

— Wybacz mi, hrabino, lecz doprawdy nie znam się na tym i nie umiem dać pani żadnej odpowiedzi — odpowiedział i obejrzał się na wchodzącego za damą wojskowego.

„Zapewne Wroński” — pomyślał Lewin i aby przekonać się o tym, spojrzął na Kiti, która zdążyła już dostrzec Wrońskiego i obejrzała się na Lewina. I z jednego tylko jej spojrzenia, pomimo woli uśmiechających się oczu, Lewin zrozumiał od razu, że Kiti kocha tego człowieka, i zrozumiał to tak dobrze, jak gdyby ona sama mu to powiedziała. Zaciekawilo go, co to za człowiek ten Wroński.

Teraz, nie namyślając się, czy wypada, czy nie wypada, Lewin postanowił zostać, gdyż musiał koniecznie przekonać się, jakim człowiekiem był ten, którego ona kochała.

Są ludzie, którzy spotykając się ze szczęśliwszym od siebie współzawodnikiem, postanawiają sobie nie zwracać uwagi na ich zalety i starają się dopatrywać w nim tylko ujemnych stron; drugi zaś rodzaj ludzi przeciwnie, pragnie w rywalu, który ich zwyciężył, dopatrzeć się tych zalet, którymi zostali zwyciężeni, i szukają starannie tych zalet z pewnym nawet bólem serca. Lewin należał do tej ostatniej kategorii. Zalety Wrońskiego rzucały się w oczy każdemu od razu, tak że Lewinowi łatwo było je dojrzeć.

Wroński był niewysokim, dobrze zbudowanym brunetem, z pięknym, nadzwyczaj spokojnym męskim obliczem. W jego twarzy i postawie, od krótko ostrzyżonych czarnych włosów i wygolonego podbródka do szerokiego nowego, prosto spod igły munduru, wszystko było nadzwyczaj proste i zarazem wykwindne. Przepuściwszy przed sobą wchodzącą damę, Wroński podszedł do księżnej, a potem ku Kiti.

Gdy podchodził ku niej, w jego pięknych oczach widać było zachwyt i zaledwie widocznym, pełnym szczęścia uśmiechem, z szacunkiem i ostrożnie skłonił się przed nią i podał jej swą małą, lecz szeroką dłoń.

Przywitawszy się ze wszystkimi i porozmawiawszy trochę z każdym, Wroński siadł, ani razu nie spojrzawszy w stronę Lewina, który ani na chwilę nie spuszczał go z oczu.

— Konstanty Dmitriewicz Lewin, hrabia Aleksy Cyryłowicz Wroński — przedstawiła ich księżna.

Wroński wstał i życzliwie patrząc w oczy Lewinowi, uściśnął podaną sobie rękę.

— Miałem tej zimy spotkać się raz z panem na obiedzie — rzekł, uśmiechając się swym szczerym i wesołym uśmiechem — lecz pan wyjechał nagle na wieś.

— Konstanty Dmitriewicz nienawidzi miasta i nas, mieszczuchów, i pogardza nami — odezwała się hrabina Nordston.

— Widocznie słowa moje wywierają na pani wrażenie, skoro pani tak dobrze je pamięta — odpowiedział Lewin i zaczerwienił się, gdyż przypomniał sobie, że powtarza tę odpowiedź już po raz drugi.

Wroński spojrzawszy na Lewina, na hrabinę Nordston i się uśmiechnął.

— Pan stale mieszka na wsi? — zapytał. — Wyobrażam sobie, jak panu musi się nudzić zima.

— Kto ma zajęcie, temu się nie nudzi, a zresztą mnie moje towarzystwo wystarcza — odparł dobitnie Lewin.

— Lubię wieś — mówił dalej Wroński, zauważywszy ton Lewina, lecz udając, że nie widzi tego.

— Spodziewam się, hrabio, że nie zgodziłbyś się mieszkać stale na wsi? — zapytała hrabina Nordston.

— Nie wiem, nigdy nie próbowałem mieszkać na wsi dłużej. Lecz raz doświadczyłem dziwnego uczucia: nigdy nie tęskniłem tak za wsią, za prawdziwą rosyjską wsią z łapciami i z chłopami, jak wtedy, gdy całą zimę z matką spędzałem w Nicei. Nicea, jak to państwu wiadomo, sama przez się jest nudna, równie jak Neapol i Sorrento, które są dobre, ale tylko na krótko. Tam właśnie, na południu, przypomina się Rosja, a szczególnie wieś. Zupełnie jak...

Wroński mówił, zwracając się i ku Kiti, i ku Lewinowi, spoglądając na nich po kolei swym spokojnym, życzliwym spojrzeniem. Widać było po nim, że mówi to tylko, co mu przychodzi na myśl.

Zauważywszy, że hrabina Nordston chciała się odezwać, Wroński przestał mówić i zaczął uważnie przysłuchiwać się hrabinie.

Rozmowa nie milkła na chwilę, tak że stara księżna, która zawsze miała w pogotowiu, na wypadek braku tematu do rozmowy, dwa działa ciężkiego kalibru: klasyczne i realne wykształcenie i powszechną powinność wojskową, nie miała potrzeby wytaczać ich, a hrabina Nordston nie miała sposobności drażnić Lewina.

Lewin chciał, ale nie mógł przyłączyć się do ogólnej rozmowy; obiecywał sobie co chwila, że wyjdzie, lecz nie wychodził, jakby czekając na coś.

Rozmowa zaczęła się toczyć o stolikach wirujących i o duchach, i hrabina Nordston, która wierzyła w spirytyzm, zaczęła opowiadać cuda, których była naocznym świadkiem.

— Doprawdy, hrabino, musi mnie pani kiedyś koniecznie tam zaprowadzić. Nigdy nie widziałem nic nadzwyczajnego, choć zawsze starałem się zobaczyć — uśmiechając się, rzekł Wroński.

— Dobrze, w przyszłą sobotę — odpowiedziała hrabina Nordston. — A pan, Konstanty Dmitriewiczu, czy pan wierzy? — zapytała Lewina.

— Po co pani się mnie pyta, przecież pani wie dobrze, co odpowiem.

— Chciałabym usłyszeć pańskie zdanie.

— Moim zdaniem — odrzekł Lewin — te stoliki wirujące są najlepszym dowodem, że tak zwana inteligencja stoi na niewiele wyższym poziomie umysłowym od chłopów, wierzących w uroki, w czary, w zapatrzanie się i tym podobne, ale my...

— Zatem pan nie wierzy?

— Nie mogę wierzyć, hrabino!

— A jeśli ja sama widziałam?

— I baby wiejskie opowiadają, że widziały na własne oczy upiora.

— Zdaje się zatem panu, że mówię nieprawdę? — zapytała hrabina i roześmiała się nieszczerze.

— Mylisz się, Mario. Konstanty Dmitriewicz powiada tylko, że nie może wierzyć — odezwała się Kiti, rumieniąc się za Lewina. Lewin zaś, zrozumiałwszy, o co chodzi, rozdrażnił się jeszcze bardziej i chciał się odezwać, lecz Wroński ze zwykłym swym szczerym uśmiechem dopomógł zręcznie w dalszym prowadzeniu rozmowy, która mogła się stać nieprzyjemna.

— Czyż pan zupełnie nie dopuszcza możliwości istnienia tych objawów? — zapytał. — Dlaczego? Uznajemy istnienie elektryczności, której bliżej nie znamy. Dlaczegoż więc nie może być nowej siły, dotychczas nam nieznaney, a która...

— Gdy odkryto elektryczność — przerwał mu z niecierpliwością Lewin — to odkryto tylko zjawisko i nie wiadomo było, skąd ono pochodzi i co może zdziałać, i minęły wieki całe, zanim pomyślano o ich zastosowaniu. Spirytyści zaś zupełnie na odwrót, zaczęli od tego, że stoliki im piszą, a duchy do nich przychodzą, i dopiero potem zaczęli dowodzić, że jest to siła nieznaną.

Wroński słuchał uważnie Lewina, zaciekawiony widocznie jego słowami.

— Tak, lecz spirytyści mówią: teraz jeszcze nie wiemy, co to za siła, lecz siła ta istnieje i działa w takich a takich warunkach, uczeni zaś niechaj dochodzą istoty tej siły. Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby to być nowa siła, gdy ona...

— Dlatego — znów przerwał Lewin — że elektryczność objawia swe działanie za każdym razem, gdy smołę potrzymamy kawałkiem sukna, spirytyzm zaś nie za każdym razem, a zatem nie jest zjawiskiem przyrodzonym.

Wroński nie przeczył, gdyż zauważył, że rozmowa staje się zbyt poważną jak na salon, i chcąc zmienić jej przedmiot, uśmiechnął się wesoło i zwrócił się ku paniom..

— Najlepiej będzie, gdy zaraz spróbujemy, hrabino — odezwał się, lecz Lewin chciał koniecznie powiedzieć wszystko, co myślał o spirytyzmie.

— Myślę — mówił dalej — że usiłowania spirytystów, aby wytłumaczyć swe cuda jakąś nową siłą, są stanowczo bezcelowe, gdyż mówią oni o sile duchowej, a chcą poddać ją doświadczeniom materialnym.

Lewin spostrzegł, że wszyscy czekają końca jego dowodzeń.

— A ja myślę, że z pana będzie doskonałe medium — przerwała mu hrabina Nordston — gdyż masz pan w sobie coś idealnego.

Lewin otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, lecz zaczerwienił się i nic nie odpowiedział.

— Najlepiej będzie, księżniczko, gdy zaraz weźmiemy się do próbowania stołów — zaproponował Wroński. — Księżno, czy pani pozwala? I Wroński wstał, szukając oczami stolika.

Kiti wstała, chcąc przysunąć stolik, i mijając Lewina, spotkała się z jego spojrzeniem. Żał go jej było z całego serca, tym bardziej że wiedziała, że tylko ona jest przyczyną jego nieszczęścia.

„Jeśli możesz mi przebaczyć, przebacz, jestem tak szczęśliwa” — mówiło jej spojrzenie.

„Nienawidzę wszystkich: i pani, i siebie” — odpowiadało jego spojrzenie i Lewin sięgnął po kapelusz, chcąc pożegnać towarzystwo. Lecz nie sądzone mu było wyjść. W chwili gdy wszyscy zaczęli siadać koło stolika, wszedł stary książę i przywitawszy się z paniami, podeszedł ku niemu.

— Dawnoś przyjechał? — zapytał uradowany książę. — Nie wiedziałem, że do nas przyszedłeś. Cieszę się, że pana widzę.

Stary książę mówił Lewinowi czasami „ty”, czasami zaś „panie”. Pocałowawszy się z Lewinem, zaczął z nim rozmawiać, nie zwracając uwagi na Wrońskiego, który stojąc, cierpliwie czekał, aż książę zwróci się ku niemu.

Kiti domyślała się, że po tym wszystkim, co zaszło między nimi, serdeczność jej ojca musi sprawiać przykrość Lewinowi. Zauważyła również, że ojciec jej bardzo chłodno odpowiedział na ukłon Wrońskiego i jak Wroński z pewnym zakłopotaniem popatrzył na jej ojca, starając się i nie mogąc zrozumieć, dlaczego jest tak źle usposobiony dla niego, i Kiti się zarumieniła.

— Niech książę puści do nas Konstantego Dmitriewicza — zawołała hrabina Nordston. — Chcemy robić doświadczenia.

— Jakie doświadczenia? Kręcić stołem? Wybaczone mi, moje panie i moi panowie, lecz moim zdaniem gra w pierścionek jest daleko weselsza — rzekł stary książę, spoglądając na Wrońskiego i domyślając się, że to on zaproponował doświadczenia spirytystyczne. — Gra w pierścionek ma przynajmniej jakiś sens.

Wroński spojrział z zadziwieniem na księcia i uśmiechnąwszy się z lekka, zaczął rozmawiać z hrabiną Nordston o wielkim balu, mającym się odbyć w przyszłym tygodniu.

— Spodziewam się, że pani będzie na nim? — zwrócił się ku Kiti z zapytaniem.

Gdy książę odwrócił się od niego, Lewin wyszedł niepostrzeżenie i uśmiechnięta, uszczęśliwiona twarzyczka Kiti, odpowiadającej Wrońskiemu na pytanie o balu, była ostatnim wrażeniem, jakie Lewin wyniósł z tego pamiętnego dla siebie wieczoru.

XV

Gdy wieczór się skończył, Kiti opowiedziała matce swą rozmowę z Lewinem i pomimo całego współczucia, jakie miała dla Lewina, cieszyła się, że spotkały ją oświadczyny. Nie wątpiła ani przez chwilę, że postępowanie jej było najzupełniej poprawne. Lecz gdy położyła się do łóżka, długo nie mogła zasnąć; prześladowało ją jedno wrażenie, oblicze Lewina ze zmarszczonymi brwiami i z ponuro patrzącymi spod nich dobrymi oczami. Widziała go, jak stojąc podczas rozmowy z jej ojcem, spoglądał na nią i na Wrońskiego. I tak go żał jej się zrobiło, że aż łzy zakręciły się jej w oczach. Lecz w tej chwili pomyślała o tym, który jej zastąpił Lewina.

Jak żywa stanęła przed nią ta energiczna męska twarz z odbijającym się na niej szlachetnym spokojem i dobrocią dla wszystkich i dla wszystkiego. Przypomniała sobie, jak głęboko kocha ją ten, którego ona kochała, i znów zrobiło jej się wesoło i z uśmiechem szczęścia złożyła głowę na poduszce. „Żał mi go, ale cóż robić? Jestem niewinna!” — powtarzała sobie, lecz głos

wewnętrzny mówił jej co innego. Sama nie zdawała sobie sprawy, czego żałuje: czy tego, że dopuściła do oświadczyń Lewina, czy też tego, że mu odmówiła. Wspomnienia te zatruwały jej szczęście. „Boże, zmiłuj się nade mną! Boże, zmiłuj się nade mną!” — modliła się, zanim sen jej nie zmorzył.

Tymczasem na dole, w małym gabinecie księcia, odbywała się jedna z coraz częściej powtarzających się między rodzicami scen o ukochaną córkę.

— Co? Jak to co! — krzyczał książę, machając rękoma i zapinając na sobie szlafrok podbity lekkim futrem. — To, że nie masz ambicji ani dumy, że hańbisz i gubisz córkę tym podłym i głupim swataniem!

— Lecz na miłość boską, zlituj się, książę, nade mną! Cóż ja zrobiłam takiego? — mówiła księżna, zaledwie wstrzymując się od płaczu.

Księżna, uszczęśliwiona rozmową z córką, przyszła jak zwykle powiedzieć księciu dobranoc i choć nie miała zamiaru mówić mu o oświadczeniach Lewina i o odmowie Kiti, napomknęła jednak z lekka mężowi, że jak jej się zdaje, z Wrońskim już wszystko skończone i że hrabia oświadczy się, jak tylko przyjedzie jego matka.

Usłyszawszy to, książę rozgniewał się i zaczął używać grubiańskich wyrażen.

— Coś zrobiła? Poczekaj: po pierwsze wabisz starających się, o czym cała Moskwa będzie mówiła i będzie miała słuszość. Jeśli wydajesz wieczory, to zapraszaj wszystkich, a nie paru wybranych dudków. Zaproś wszystkich tych *tiut'ków* (książę nazywał tak moskiewską młodzież), zawołaj grajka i niech sobie skaczą, a nie tak jak ty robisz, paru konkurentów! Wstręt mnie ogarnia, gdy patrzę na to, a ty doczekałaś się tego, czego chciałaś, zawróciłaś głowę dziewczynie. Lewin jest tysiąc razy porządniejszym człowiekiem. A ten Wroński to petersburski elegant. Ich tam na maszynie robią, jeden wart drugiego, a wszyscy razem licha warci. Choćby on był księciem krwi nawet, córka moja nikogo nie potrzebuje.

— Lecz czy ja winna jestem temu?

— Ty!... — zawołał książę pełen gniewu.

— Wiem dobrze, że jeśli ciebie będę słuchała, to nigdy córki nie wydamy za mąż. W takim razie najlepiej wyjeżdżajmy na wieś.

— Ma się rozumieć!

— Sam powiedz, czy ja narzucam się komu? Nikomu nie narzucam się; a młody człowiek zakochał się i ona, jak mi się zdaje...

— Tak, jak ci się zdaje! A jeśli ona naprawdę się zakocha, a on tak samo myśli zenić się jak ja?... Wolałbym nie patrzeć na to wcale!

„Ach, spirytyzm! Ach, Nicea! Ach, na balu!...” — I książę, któremu zdało się, że przedrzeźnia żonę, dygał przy każdym wyrazie. — A jeśli staniemy się powodem nieszczęścia Kiti, jeśli ona rzeczywiście nabije sobie głowę...

— Dlaczego przypuszczasz, że sobie nabije?

— Ja nie przypuszczam, ja wiem. My znamy się na tym, a nie baby. Widzę człowieka mającego poważne zamiary i widzę sowizdrzała, jak ten dudek, który chce się tylko pobawić.

— Zaczynasz już gadać od rzeczy.

— Przypomnisz sobie moje słowa, lecz już będzie za późno... Tak będzie jak z Darią...

— Dobrze, dobrze, nie mówmy już o tym — przerwała księżu żona, przypominając sobie nieszczęśliwą Dolly.

— Dobrze, dobranoc!

Przeżegnawszy się i pocałowawszy, lecz wiedząc dobrze, że każde z nich pozostaje przy swoim zdaniu, małżonkowie się rozeszli.

Księżna z początku była pewna, że dzisiejszego wieczoru rozstrzygnął się los Kiti i że zamiary Wrońskiego nie mogą ulegać żadnej wątpliwości. Lecz słowa męża zaniepokoiły ją. Wróciwszy do swego pokoju, księżna tak jak Kiti westchnęła parę razy, jakby obawiając się nieznaney przyszłości: „Boże, zmiłuj się nade mną! Boże, zmiłuj się nade mną!”

XVI

Wroński nie zaznał nigdy rodzinnego życia. Matka jego była za swych młodych lat światową lwicą i miała jeszcze za życia męża, a zwłaszcza po jego śmierci, parę romansów, znanych powszechnie całemu światu. Ojca swego Wroński prawie nie pamiętał; wychowanie odebrał w korpusie paziów.

Skończywszy szkołę, jako młody elegancki oficer Wroński od razu zaczął pędzić życie zwykłym trybem bogatych petersburskich wojskowych. Chociaż bywał w petersburskich salonach, wszystkie jednak jego miłosne sprawy miały miejsce poza ich obrębem.

W Moskwie po raz pierwszy odczuł po hulaszczym i pełnym uciech petersburskim życiu cały urok miłej, niewinnej, należącej do świata, młodej dziewczyny, która go pokochała. Na myśl mu nawet nie przyszło, aby mogło być coś złego w stosunku jego do Kiti. Na balach przeważnie z nią tańczył i często bywał w domu Szczerbackich. Rozmawiał z nią o tym, o czym zwykle rozmawia się z pannami w salonie, to jest o niczym, lecz temu nic mimo woli nadawał szczególny dla niej wyraz. Pomimo tego, że nie powiedział jej nic takiego, czego nie mógłby powiedzieć jej przy wszystkich, spostrzegał, że Kiti coraz bardziej i bardziej staje się zależna od niego, i im więcej się o tym przekonywał, tym mu było przyjemniej i tym bardziej Kiti się mu podobała. Wroński nie wiedział, że postępowanie jego względem Kiti ma określoną nazwę, że nazywa się rozkochiwaniem w sobie panien bez zamiaru żenienia się z nimi i że postępowanie takie jest jednym ze złych uczynków, które młodzież jego rodzaju zwykle pozwala sobie popełniać. Wroński miał się za wynalazcę tej przyjemności i był zachwycony swym wynalazkiem. Zdziwiłby się bardzo, gdyby dzisiejszego wieczoru był świadkiem rozmowy jej rodziców, gdyby zapatrywał się na to z punktu widzenia jej rodziny i gdyby dowiedział się, że unieszczęśliwi Kiti, jeśli nie ożeni się z nią; zdziwiłoby go to bardzo i nie chciałby dać temu wszystkiemu wiary. Nie uwierzyłby, że to, co jemu i bardziej jeszcze jej sprawia taką ogromną przyjemność, może być nieuczciwe z jego strony. Żadną zaś miarą nie mógłby uwierzyć, że powinien się z nią ożenić.

Ożenienie nie przedstawiało mu się nigdy jako możliwość, gdyż nie tylko nie lubił rodzinnego życia, lecz stosownie do poglądów kawalerskiego kółka, wśród którego się obracał, w rodzinie, a zwłaszcza w mężu, wyobrażał sobie zawsze coś nudnego, wrogiego. Choć Wrońskiemu i przez myśl nie przeszło, o czym rozmawiał księżę z księżną, wyszedłszy jednak tego wieczoru od Szczerbackich, poczuł, że ten duchowy, tajemniczy związek, istniejący między nim a Kiti, utrwalił się dzisiejszego wieczoru do tego stopnia, że należy coś przedsięwziąć. Lecz co należało i co można było przedsięwziąć, Wroński nie mógł się domyślić.

„To i dobrze” — myślał, wracając od Szczerbackich, czując się, jak zawsze po spędzonym u nich wieczorze, rześki i wesoły, do czego przyczyniło się, że w ciągu całego wieczoru nie palił. „To i dobrze, że ani ja, ani ona nie powiedzieliśmy nic, lecz tak rozumieliśmy się nawzajem w tej nieuchwytnej rozmowie spojrzeń, że dzisiaj wyraźniej niż kiedykolwiek powiedziała mi,

że mnie kocha. I jak szczerze, i przede wszystkim z jakim zaufaniem! Sam siebie zaczynam uważać za lepszego. Czuję, że mam serce i że we mnie jest dużo dobrego. Te śliczne, rozkochane oczy! Gdy powiedziała: »i bardzo!«. To i cóż? I nic. Dobrze mi jest i jej również”. I Wroński zaczął myśleć, gdzie najlepiej spędzić resztę wieczoru.

Przebiegł myślą miejsca, dokąd mógłby pojechać. „Klub? Partia bezika, szampan z Ignatowem? Nie, nie pojedę. *Château des fleurs*? zastanę tam Obłońskiego. Kuplety, kankan? Nie, już mi się to wszystko sprzykrzyło. Za to właśnie lubię Szczerbackich, że w ich domu sam staję się lepszy. Pojadę wprost do siebie”. Przyjechawszy do hotelu Dussö, poszedł od razu do swego pokoju, kazał podać sobie kolację i po chwili, rozebrawszy się, zaledwie zdążył położyć głowę do poduszki, zasnął mocno.

XVII

Na drugi dzień o jedenastej rano Wroński wyjechał na petersburski dworzec na spotkanie matki. Pierwszą osobą, na którą natknął się na stopniach szerokich schodów, był Obłoński, który również spodziewał się siostry, mającej przyjechać tym pociągiem.

— Witam jaśnie hrabiego! — zawołał Obłoński. — A ty po kogo?

— Ja po matkę — uśmiechając się jak wszyscy przy spotkaniu z Obłońskim, odpowiedział Wroński, uściskawszy go za rękę, i razem z nim wchodząc na schody. — Spodziewam się dzisiaj jej przyjazdu z Petersburga.

— Czekalem na ciebie do drugiej w nocy. Dokądżeś pojechał od Szczerbackich?

— Do domu — odrzekł Wroński. — Tak mi jakoś, co prawda, było przyjemnie po wieczorze spędzonym u Szczerbackich, że nie chciało mi się już nigdzie jechać.

— Poznaję bystre konie po ich nozdrzach, zakochanych zaś młodzieńców po ich oczach — zadeklamował Stiepan Arkadiewicz zupełnie tak samo jak wczoraj podczas rozmowy z Lewinem.

Wroński uśmiechnął się, dając tym uśmiechem do zrozumienia, że nie zapiera się bynajmniej, lecz od razu zaczął mówić o czym innym.

— A ty na kogo czekasz? — zapytał.

— Ja? Ja na ładną kobietę — odparł Obłoński. — No, no! — *Honni soit, qui mal y pense!* Na mą siostrę Annę Kareninę.

— Na Kareninę!

— Znasz ją?

— Zdaje się, że znam! A może nie... Doprawdy nie pamiętam — odparł Wroński, zamyślając się i przypominając sobie wraz z nazwiskiem Kareniny kogoś nudnego i przesadzonego.

— Lecz Aleksieja Aleksandrowicza, mego znakomitego szwagra, na pewno znać musisz. Cały świat go zna.

— Znam go ze słyszenia i z widzenia. Wiem, że jest to człowiek rozumny, uczony, bardzo pobożny... Lecz wiesz dobrze, że nie znam się na tym... *not in my line* — odpowiedział Wroński.

— Jest to doprawdy człowiek zasługujący na uwagę pod każdym względem: trochę konserwatysta, lecz nadzwyczaj dobry — zauważył Stiepan Arkadiewicz. — Zaczyn człowiek.

— Tym lepiej dla niego — rzekł Wroński, uśmiechając się. — A, przyszedłeś i ty tutaj — zwrócił się do starego wysokiego lokaja swej matki, który stał przy drzwiach. — Chodź tu bliżej.

Wroński w ostatnich czasach okazywał Obłońskiemu nie tylko przyjaźń, jak i wszyscy, lecz był dla niego szczególnie serdeczny, gdyż w wyobraźni swej łączył go z Kiti.

— Urządzamy w niedzielę kolację dla *divy*? — zapytał z uśmiechem Wroński Stiepana Arkadiewicza, biorąc go pod rękę.

— Ma się rozumieć! Ja zbieram składki. Czy poznałeś wczoraj mego przyjaciela Lewina? — zapytał Stiepan Arkadiewicz.

— A jakże, ale on jakoś prędko odjechał.

— Bardzo porządny chłopak — mówił w dalszym ciągu Obłoński. — Nieprawdaż?

— Nie wiem dlaczego — odpowiedział Wroński — ale wszyscy mieszkańcy Moskwy, z wyjątkiem ma się rozumieć tych, z którymi rozmawiam — dodał żartem — są jacyś opryskliwi. Zawsze mi się zdaje, że ciągle stają dęba, gniewają się, jakby chcieli dać do zrozumienia...

— W istocie, masz rację — odpowiedział Stiepan Arkadiewicz, śmiejąc się wesoło.

— Prędko pociąg nadejdzie? — zapytał Wroński przechodzącego urzędnika kolejowego.

— Już niedługo — odpowiedział urzędnik.

Nadejście pociągu dawało się coraz bardziej zauważyć z przygotowań na stacji, z biegania tragarzy, z ukazania się żandarmów i urzędników, z coraz liczniej przybywającej publiczności. Przez zasłonę mroźnej mgły widać było robotników w kozuchach, w miękkich filcowych butach, jak przechodzili przez szyny. Zdawało się słyszeć gwizdanie lokomotywy i przesuwanie jakiegoś ciężaru.

— Nie — odezwał się po chwili Stiepan Arkadiewicz, któremu chciało się bardzo opowiedzieć Wrońskiemu o zamiarach Lewina co do Kiti. — Nie, tyś źle ocenił mego Lewina. Jest to człowiek nadzwyczaj nerwowy i czasami bywa naprawdę nieprzyjemny, lecz za to też czasami jest nadzwyczaj przyjemny. Ma dobrą, pocziwą duszę i prawdziwie złote serce. Lecz wczoraj miał swoje szczególne powody — mówił ze znaczącym uśmiechem Stiepan Arkadiewicz, zapominając zupełnie o szczerym współczuciu, jakie wczoraj miał dla przyjaciela, i mając obecnie zupełnie takie same tylko dla Wrońskiego. — W istocie, miał swoje szczególne powody: mógł wczoraj być albo bardzo szczęśliwy, albo też bardzo nieszczęśliwy.

Wroński zapytał wprost: — Cóż takiego? Czy może się oświadczył wczoraj swej *belle-soeur*?

— Być może — odpowiedział Stiepan Arkadiewicz. — Tak mi się coś zdało wczoraj. Jeśli odszedł wcześniej i był w złym humorze, to zapewne tak. Dawno jest już zakochany i żal mi go bardzo.

— Tak! Zresztą zdaje mi się, że księżniczka może liczyć na lepszą partię — odrzekł Wroński. — Jest to rzeczywiście przykre położenie. Dlatego też większość przedkłada znajomości z Klarami, gdyż tam niepowodzenie dowodzi tylko, że ci zabrakło pieniędzy, a tutaj chodzi o twoją godność. Ale oto i pociąg już nadchodzi.

W istocie, z dala słyszać było świst lokomotywy. Wkrótce cały peron zadrzął, wzdłuż niego przebiegła lokomotywa, wyrzucając kłęby pary, opadającej w tej chwili na dół z powodu silnego mrozu; na lokomotywie widać było kłaniającego się, obwiązanego i zsiniałego od mrozu maszynistę. Za tendrem biegł wagon z bagażami i z wyjąłym psem, w końcu zaś, kołysząc się lekko przed zatrzymaniem, ukazały się wagony pasażerskie.

Konduktor gwizdnął, nim pociąg się zatrzymał, wyskoczył na peron z wagonu, a za nim zaczęli wychodzić niecierpliwi pasażerowie: oficer gwardii, trzymający się nadzwyczaj prosto i spoglądający surowo dookoła; kupczyk z torbą podróżną, wesoło się uśmiechający, i chłop z workiem na plecach.

Wroński, stojąc koło Obłońskiego, przypatrywał się wagonom i pasażerom i zupełnie zapomniał o matce; czuł się podniecony i uciśniony tym, co usłyszał od Stiepana Arkadiewicza o Kiti; wyprostował się i oczy błyszczały mu szczęściem, był pewny, że jest zwycięzcą.

— Hrabina Wrońska znajduje się w tym przedziale — rzekł konduktor, podchodząc do Wrońskiego.

Odezwanie się konduktora oderwało go od marzeń i kazało mu przypomnieć sobie o przyjeździe matki i o mającym nastąpić spotkaniu. Wroński w głębi duszy matki nie szanował i nie kochał jej, nie zdając sam sobie z tego sprawy, chociaż stosownie do pojęć towarzystwa, w którym się obracał, i stosownie do wychowania, jakie odebrał, nie mógł wyobrazić sobie innych stosunków z matką, jak tylko w najwyższym stopniu pełnych szacunku i czułości synowskiej, i to tym bardziej pełnych szacunku i czułości synowskiej, im mniej w istocie ją kochał i szanował.

XVIII

Wroński poszedł za konduktorem do wagonu i wchodząc do przedziału, w którym siedziała matka, zatrzymał się, aby przepuścić wychodzącą damę. Ze zwykłym taktem światowego człowieka z jednego tylko przelotnie rzuczonego na nią spojrzenia Wroński poznał, że wychodząca kobieta należy do wyższych sfer towarzyskich. Skłonił się jej i wszedł do przedziału, lecz zdawało mu się, że musi raz jeszcze na nią spojrzeć: nie dlatego, że była bardzo ładna, nie dlatego, że była pełna uroku rozwianego w całej postaci, lecz dlatego, że w wyrazie jej twarzy, w chwili gdy przechodziła koło niego, było coś szczególnie ujmującego i pociągającego. W chwili gdy Wroński obejrzał się, ona również odwróciła głowę. Pełne blasku szare oczy, które z powodu gęstych

rzęs zdawały się być ciemne, z przyjazną uwagą zatrzymały się na jego postaci, jak gdyby poznawały go, i zaraz przeniosły się na przechodzący koło wagonu tłum, widocznie szukając kogoś! Wroński zdołał zauważyć w tym przelotnym spojrzeniu wyraz oczekiwania igrający na jej twarzy, w błyszczących jej oczach, i zaledwie dostrzegalny uśmiech na rumianych jej wargach.

Wroński wszedł do wagonu. Matka jego, sucha staruszka z czarnymi oczyma, przymrużyła oczy, przypatrując się synowi, i się uśmiechała. Podniósłszy się z kanapy i oddając pokojówce woreczek ręczny, podała synowi drobną suchą rękę i objąwszy go za szyję, pocałowała w twarz.

— Czyś odebrał depeszę? Zdrów jesteś?

— Jakże mama dojechała? — zapytał syn, siadając koło matki i mimo woli przysłuchując się kobiecemu głosowi, dającemu się słyszeć zza drzwi wagonu. Wroński wiedział, że to jest głos tej damy, którą spotkał przy wejściu.

— Nie mogę się jednak zgodzić z panem — mówił głos kobiecy.

— Petersburski pogląd, proszę pani!

— Nie petersburski, a po prostu kobiecy — odrzekła.

— Niech pani pozwoli pocałować swą rączkę...

— Do widzenia, Iwanie Piotrowiczu. Zobacz pan, czy nie ma tu mego brata, i przyślij go do mnie — mówiła nieznajoma już we drzwiach i znów weszła do przedziału.

— Znalazła pani swego brata? — zapytała Wrońska, zwracając się ku wchodzącej damie.

Wroński dopiero teraz przypomniał sobie, że to była Karenina.

— Brat pani znajduje się na stacji — odezwał się, wstając z kanapy. Niech mi pani wybaczy, że jej nie poznałem, ale znajomość nasza była tak krótka — mówił, kłaniając się jej — że pani pewno nie pamiętała o niej.

— O, nie — odpowiedziała. — Poznałabym pana w każdym razie, gdyż z matką pańską przez całą drogę rozmawialiśmy tylko o panu — rzekła, dozwalając na koniec ożywieniu, które ją ogarniało, opromienić twarz uśmiechem. — A brata mego, jak nie ma, tak nie ma.

— Zawołaj go, Alosza! — zwróciła się do syna hrabina.

Wroński wyszedł na peron i zawołał:

— Obłóński! Tutaj!

Karenina jednak nie czekała na brata, lecz zobaczywszy go, lekkim krokiem wybiegła z wagonu. Gdy brat zbliżył się do niej, Karenina ruchem, który uderzył Wrońskiego swą siłą i gracją, objęła brata lewą ręką za szyję,

przycisnęła go do siebie i serdecznie pocałowała. Wroński patrzył na nią wciąż i uśmiechnął się, nie zdając sobie sprawy, dlaczego się uśmiecha. Lecz gdy przypomniał sobie, że czeka na niego matka, wszedł znów do wagonu.

— Czyś zauważył, jaka to sympatyczna osoba? — zapytała hrabina syna. — Mąż posadził ją razem ze mną, całą drogę rozmawialiśmy. A o tobie powiadają... *Vous filez le parfait amour. Tant mieux, mon cher, tant mieux.*

— Nie wiem, o czym mama myśli — chłodno odpowiedział syn. — Wychodźmy już, *maman!*

Karenina znów weszła do wagonu pożegnać się z hrabiną.

— Znalazłaś pani syna, hrabino, a ja brata — wesoło się odezwała. — Wszystkie moje historie wyczerpały się, nie miałabym już nic więcej do opowiadania.

— No, co to, to nie — odpowiedziała hrabina. — W towarzystwie pani mogłabym objechać świat i przez chwilę bym się nie nudziła. Pani należy do tych sympatycznych kobiet, z którymi i porozmawiać, i pomilczeć jest prawdziwą przyjemnością. O syna swego zaś niech się pani przestanie martwić. Nigdy nie rozłączać się nie można.

Karenina stała spokojnie, trzymając się nadzwyczaj prosto, i oczy jej się uśmiechnęły.

— Anna Arkadiewna — odezwała się hrabina, zwracając się ku synowi — ma ośmioletniego synka, z którym nigdy dotąd nie rozłączała się, i martwi się obecnie, że zostawiła go samego.

— Przez cały czas rozmawialiśmy z księżną: ona o swoim synu, a ja o swoim — rzekła Karenina i twarz jej opromienił uśmiech, uśmiech, w którym malowało się dużo życzliwości dla niego.

— Zapewne znudziła panią ta rozmowa — odpowiedział zaraz Wroński na rzuconą mu piłkę kokieterii. Lecz widać było, że Karenina nie chce przedłużać rozmowy prowadzonej tym tonem, i znów zaczęła rozmawiać ze starą hrabiną.

— Dziękuję pani bardzo. Nie zauważyłam, kiedy minęła mi cała droga. Do widzenia, hrabino.

— Do widzenia, kochana pani — odpowiedziała hrabina. — Niech mi pani pozwoli pocałować swą śliczną twarzyczkę. Mówię szczerze, jak stara, że panią pokochałam.

Nieszczerość dawała się słyszeć w słowach hrabiny, jednak Karenina uwierzyła im widocznie i ucieszyła się z nich: zarumieniła się, nachyliła, nadstawiła swą twarz hrabinie, po chwili wyprostowała się i podała Wroń-

skiemu rękę z uśmiechem, który zdawał się falować między wargami a oczyma. Wroński uściśnął podaną mu drobną rączkę, a energiczny ruch, którym ona mocno i śmiało potrząsnęła jego ręką, ucieszył go nadzwyczajnie. Po chwili Anna wyszła prędkim krokiem z wagonu.

— Nadzwyczaj sympatyczna — zauważyła po raz drugi hrabina.

Tego samego zdania był i jej syn, który odprowadzał Kareninę oczyma, dopóki jej zgrabna figura nie znikła w tłumie napęniającym peron. Przez okno widział, jak podeszła do brata, wzięła go za rękę i z werwą zaczęła z nim rozmawiać. Wroński był pewny, że rozmowa ta nie miała żadnego związku z nim, pomimo to widok Anny rozmawiającej z Obłońskim był dla niego przykry.

— Jakżeż tam ze zdrowiem mamy? — zapytał powtórnie, zwracając się ku matce.

— Dobrze, zupełnie dobrze. Alexandre był bardzo serdeczny i Marie również taka jest miła...

I znów zaczęła opowiadać o tym, co ją najbardziej interesowało, o chrzcinach wnuka, na które pojechała do Petersburga, i o względach, jakie cesarz okazywał jej starszemu synowi.

— Oto i Wawrzyniec — odezwał się Wroński, spoglądając przez okno. — Teraz, jeśli mama sobie życzy, możemy już iść.

Stary kamerdyner, który jeździł zawsze z hrabiną, wszedł do wagonu i zameldował, że karetka już czeka. Hrabina podniosła się do wyjścia.

— Chodźmy, ludzi już niewiele — rzekł Wroński.

Pokojówka wzięła woreczek i pieska, kamerdyner zaś i tragarz resztę rzeczy. Wroński podał matce rękę. W chwili gdy wychodzili z wagonu, kilku ludzi z przestraszonymi minami przebiegło koło nich, przebiegł też i zawia-dowca stacji w swej niezwyklego koloru czapce. Widać było, że stało się coś niezwyklego. Ludzie biegli ku końcowi pociągu.

— Co?... Co?... Gdzie?... Rzucił się!... Przejechało go!... — słychać było wołanie w biegnącym tłumie.

Stiepan Arkadiewicz z siostrą zawrócili, unikając wmieszania się w biegnący tłum, i zatrzymali się koło wagonu.

Panie weszły do wagonu, a Wroński i Stiepan Arkadiewicz poszli dowiedzieć się o szczegóły wypadku.

Stróż, nie wiadomo, czy był pijany, czy też obwiał się zanadto z powodu zimna, nie zauważył, że pociąg zaczął się cofać, i dostał się pod koła, które go zmiażdżyły.

Wroński i Obłoński nie zdążyli jeszcze wrócić, gdy panie dowiedziały się już wszystkiego od kamerdynera.

Obłoński i Wroński widzieli obydwa okaleczonego trupa. Po Obłońskim widać było, że wypadek wywarł na nim nadzwyczaj przykre wrażenie: marszczył się i zdawało się, że lada chwila zacznie płakać.

— Straszna rzecz! Dobrze się stało, Anno, że nic nie widziałaś! — zaledwie zdolał wymówić.

Wroński nic nie mówił, jego piękna twarz była poważna, lecz zupełnie spokojna.

— Gdybyś, hrabino, widziała... — mówił Stiepan Arkadiewicz — żona jego tam była... rzuciła się na ciało. Powiadają, że żywił bardzo liczną rodzinę. Straszny wypadek!

— Czyż nie było można przyjść im z pomocą? — zapytała szeptem Karenina.

Wroński spojrzał na nią, po czym zaraz wyszedł z wagonu.

— Zaraz wrócę, *maman* — rzekł, zwracając się we drzwiach ku matce.

Po upływie paru minut, gdy Wroński wrócił, Stiepan Arkadiewicz rozmawiał już z hrabiną o nowej śpiewaczce, a hrabina z niecierpliwością spoglądała na drzwi, oczekując nadejścia syna.

— Chodźmy już teraz — rzekł Wroński, wchodząc.

Wszyscy wyszli razem. Wroński szedł naprzód z matką, za nimi szła Karenina z bratem.

Przy wyjściu podszedł do Wrońskiego zawiadowca stacji, który ich dopędził.

— Pan był łaskaw wręczyć memu pomocnikowi dwieście rubli, upraszam o powiedzenie mi, dla kogo je pan przeznacza.

— Dla wdowy po zabitym — odpowiedział Wroński. — Nie rozumiem, po co pan pyta.

— Dajeś? — zawołał Obłoński i przyciskając rękę siostry, dodał po cichu: — Jak to szlachetnie z jego strony! Moje uszanowanie, hrabino!

Stiepan Arkadiewicz i Anna zatrzymali się na chwilę, szukając oczyma służącej.

Gdy wyszli przed dworzec, karetka Wrońskich już odjechała. Ludzie, tłoczący się przy wyjściu, rozmawiali o wypadku.

— Straszna śmierć — odezwał się jakiś jegomość. — Podobno przecięło go na pół.

— A mnie się zdaje, że właśnie lekka, gdyż natychmiastowa — uważał drugi.

— Że też nie zachowują środków ostrożności — rzekł ktoś trzeci.

Karenina siadła do karety i Stiepan Arkadiewicz zadziwił się, zauważwszy, że wargi jej drgają i że z trudnością powstrzymuje łzy.

— Co ci się stało, Anno? — zapytał, gdy odjechali już kawałek drogi.

— Zła przepowiednia — odpowiedziała.

— Głupstwo — odparł Stiepan Arkadiewicz. — Przyjechałaś, a o to chodziło mi bardzo. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak ja liczę na ciebie.

— Czy dawno znasz już Wrońskiego? — zapytała.

— Dość dawno. Czy wiesz, spodziewamy się, że ożeni się z Kiti.

— Tak? — cicho odezwała się Anna. — Teraz zacznijmy rozmawiać o tobie — dodała po chwili, potrząsając głową, jakby chciała odpędzić coś natrętnego, co jej dokucza i co uważa za zbytczne. — Jak stoi cała twoja sprawa? Odebrałam twój list i zaraz przyjechałam.

— W istocie, cała ma nadzieja leży w tobie.

— Opowiedz mi więc wszystko.

Stiepan Arkadiewicz zaczął opowiadać.

Gdy dojechali do domu, Obłoński pomógł siostrze wysiąść, uścisnął ją za rękę i poszedł do biura.

XIX

Anna weszła do saloniku, w którym siedziała Dolly z rumianym pulchnym chłopczykiem, obecnie już podobnym do ojca. Matka odbywała z synem lekcję francuskiego czytania. Chłopiec czytał i bezustannie kręcił w rękę i starał się oderwać guzik, zaledwie już trzymający się kurtki. Matka parę razy odejmowała mu rękę, lecz pulchna rączka znów brała za guzik; wreszcie matka oderwała guzik i schowała go do kieszeni.

— Grisza, trzymaj ręce przy sobie — strofowała go i znów zaczęła robić kołdrę, którą zawsze robiła w ciężkich dla siebie chwilach życia.

Palce jej nerwowo poruszały szydełko. Chociaż Dolly wczoraj kazała powiedzieć mężowi, że przyjazd jego siostry nic ją nie obchodzi, to pomimo to kazała dla niej wszystko przygotować i z niecierpliwością oczekiwała na przyjazd bratowej.

Dolly była zupełnie przybita i pogiębiona swym nieszczęściem, w każdym razie jednak pamiętała, że Anna była żoną jednej z petersburskich figur i petersburską *grande dame*, i dzięki temu nie zrobiła tego, co zapowiedziała mężowi, to jest nie zapomniała o przyjeździe bratowej. „A zresztą Anna niczemu nie jest winna” — mówiła Dolly. „Od niej nie doznałam nigdy niczego złego, owszem, dawała mi zawsze dowody swej przyjaźni i życzliwości”. Co prawda, o ile przypominała sobie wrażenie, jakie wywarł na niej pobyt w Petersburgu u Kareninów, to dom ich nie podobał się jej: w całym składzie ich życia rodzinnego dawało się odczuwać coś fałszywego. „Lecz dlaczego ja mam jej nie przyjmować? Niech tylko nie myśli mnie pocieszać” — myślała Dolly. „Wszystkie te pocieszania, nauczania, chrześcijańskie przebaczenia, o wszystkim tym już tysiąc razy myślałam i wszystko to na nic się nie zda”.

Przez te parę dni Dolly była wciąż sama z dziećmi. Mówić o swym nieszczęściu nie chciała, a będąc tak nieszczęśliwą, o niczym innym mówić nie mogła. Wiedziała, że w ten lub inny sposób opowie Annie wszystko — i cieszyła ją ta myśl, że wypowie wszystkie swe zmartwienia, to znów irytowała ją konieczność rozmawiania o swym poniżeniu z Anną, z jego siostrą, i słuchania od niej z góry już obmyślonych frazesów, pełnych rad i pociechy.

Oczekując Anny lada chwila i ciągle spoglądając na zegar, Dolly, jak to zdarza się często, przepuściła tę właśnie chwilę, w której gość przyjechał, i nie słyszała wcale dzwonka.

Gdy usłyszała szelest sukni i lekkie kroki i gdy się obejrzała, na jej zmęczonym obliczu, mimo woli zupełnie, odbiła się nie radość, lecz zdziwienie. Po chwili wstała i ucałowała bratową.

— Już przyjechałaś? — rzekła, witając się z nią.

— Dolly, jak mnie to cieszy, że cię widzę!

— I ja się bardzo cieszę — odrzekła Dolly, uśmiechając się lekko i starając się ze spojrzenia Anny domyślić, czy bratowa już wie wszystko. „Zapewne wie” — pomyślała, zauważywszy wyraz współczucia w oczach Anny. — Chodźmy, zaprowadzę cię do twego pokoju — mówiła, chcąc o ile możliwości oddalić chwilę stanowczej rozmowy.

— To Grisza? Mój Boże, jak on urósł! — rzekła Anna, całując siostrzeńca i patrząc się ustawicznie na Dolly i po chwili rumieniąc się cała. — Pozwól mi zostać tutaj.

Zaczęła zdejmować chustkę, kapelusz i zaczępiwszy nim o promień swych czarnych wijących się włosów, kręcąc głową, odczepiała zaplątany lok.

— Jaśniejiesz szczęściem i zdrowiem! — odezwała się Dolly prawie z zazdrością.

— Ja?... Tak — odpowiedziała Anna. — Ach, mój Boże! Tania! Równieśnica mego Sierioży — zawołała, widząc wbiegającą do pokoju dziewczynkę, i wzięła ją na ręce, i zaczęła całować. — Śliczna dziewczynka, śliczna! Pokaż mi wszystkie dzieci, moja kochana!

Anna zaczęła wyliczać wszystkie dzieci, pamiętając nie tylko ich imiona, lecz i wiek każdego z dzieci, jego usposobienie, choroby, przez które przechodziło, i Dolly nie mogła nie być jej za to wdzięczna.

— Chodźmy więc do nich — odezwała się. — Szkoda tylko, że Wasia śpi już teraz.

Wróciwszy od dzieci, znalazły się same w salonie, dokąd po chwili przyniesiono kawę. Anna wzięła tackę, lecz zaraz ją postawiła.

— Dolly — odezwała się — on już mi wszystko powiedział.

Dolly popatrzyła chłodno na Annę, oczekując na frazesy pełne udanego współczucia, lecz Anna nie odezwała się z niczym w tym rodzaju.

— Dolly, moja najukochańsza — rzekła — nie chcę ci nic mówić na jego obronę i nie chcę pocieszać cię, gdyż nie mogę. Lecz, kochana moja, żal mi cię, żal szczerze!

Spoza gęstych rzęs, z błyszczących jej oczu ukazały się łzy. Siadła bliżej bratowej i ujęła jej dłoń swą drobną, energiczną rączką. Dolly nie odsunęła się od niej, lecz twarz jej nie zmieniła swego wyrazu.

— Nikt pocieszyć mnie nie może. Dla mnie wszystko już jest stracone, wszystko uważam za przepadłe!

I jak tylko Dolly to powiedziała, wyraz twarzy jej zmiekkł. Anna ujęła suchą, chudą rękę Dolly, pocałowała ją i rzekła:

— Lecz, Dolly, co robić? Co robić? Trzeba przecież pomyśleć, jak należy postąpić, aby wyjść z tego strasznego położenia.

— Wszystko już skończone — odrzekła Dolly. — Domyślasz się zapewne, że najprzykrejsze jest dla mnie, iż porzucić go nie mogę, gdyż skrupowana jestem dziećmi. Z nim zaś żyć również nie mogę: sam widok jego sprawia mi przykrość.

— Dolly, kochana moja, on powiedział mi wszystko, lecz chciałabym dowiedzieć się również o wszystkim od ciebie, opowiedz mi, jak to było.

Dolly popatrzyła na nią pytająco. W oczach Anny znać było szczere współczucie i życzliwość.

— Dobrze — odezwała się nagle Dolly. — Opowiem ci wszystko od samego początku. Wiesz dobrze, jak wyszłam za mąż. Z wychowaniem, jakie mi dała *maman*, byłam nie tylko naiwna, ale i głupia. Nie wiedziałam o niczym. Powiadają, jak wiesz o tym, że mężowie opowiadają żonom o swym przeszłym życiu, lecz Stiwa... — tu się poprawiła — Stiepan Arkadiewicz nic mi nie powiedział. Nie uwierzysz mi może, lecz dotąd wciąż myślałam, że jestem jedyną kobietą, którą... Ze złudzeniem tym przeżyłam lat osiem. Wierz mi, że nie tylko nie podejrzewałam go o zdradę, lecz uważałam ją nawet za niemożliwą, i nagle, wyobraź sobie, z takimi jak moje pojęciami dowiedzieć się o wszystkim, o tych wstrętnych... Chciej mnie tylko zrozumieć: byłam głęboko przekonana o swym szczęściu. Nagle... — mówiła dalej Dolly, wstrzymując łkania — odebrałam list... list pisany przez niego do kochanki, do guwernantki mych dzieci. Doprawdy... to już było zanedtło wielkie nieszczęście dla mnie!

Dolly wyjęła z pośpiechem chustkę z kieszeni i ukryła w niej twarz. — Mogłabym zrozumieć jeszcze chwilowe zapomnienie się — zaczęła znów mówić po chwili milczenia — lecz oszukiwania mnie tak przebiegle, z takim obmyśleniem wszystkich szczegółów... i z kim? Być zarazem moim mężem i jej!... Nie możesz sobie wyobrazić...

— Rozumiem, rozumiem cię, kochana Dolly — uspokajała ją Anna, ścisnąc Dolly za rękę.

— I czy myślisz, że on zdaje sobie sprawę z całego ogromu mego nieszczęścia? — mówiła dalej Dolly. — Wcale nie, jest w jak najlepszym humorze i nic mu nie brakuje.

— Co to, to nie! — przerwała jej Anna. — Znać po nim, że jest przybity i że żałuje.

— Czy on może żałować? — przerwała znów Dolly, spoglądając bacznie na bratową.

— Może! Ja znam go dobrze. Przykro mi było doprawdy patrzeć na niego. Znamy go przecież obydwie: jest dobry, lecz dumny, a teraz czuje się tak upokorzony. Najbardziej wzruszyło mnie (Anna zgadła dobrze, co najbardziej podziała na Dolly), że męczy go wstyd przed dziećmi i że, kochając

ciebie... tak, tak, kochając ciebie najbardziej na świecie — przerwała przed-ko chcącej jej zaprzeczyć Dolly — wyrządził ci taką przykrość. „Nie, nie, ona mi nie przebaczy” — powtarzał ciągle.

Dolly była zamyślona i nie patrzyła na bratową, z uwagą jednak słuchała jej słów.

— W istocie, rozumiem, że położenie jego jest przykre, lecz zawsze kto jest winny, cierpi więcej niż ten, kto nie poczuwa się do żadnej winy — rzekła. — Lecz sama powiedz, czy mogę mu przebaczyć, czy mogę być znowu jego żoną... po niej? Pożycie z nim będzie dla mnie obecnie męką, dlatego że cenię swą przeszłą miłość ku niemu... — Łkanie nie dało jej dalej mówić.

Lecz jakby naumyślnie za każdym razem, gdy Annie udało się zmiękczyć jej gniew, Dolly znowu zaczynała mówić o tym, co ją najwięcej rozdrażniało.

— Ona przecież jest młoda i ładna — mówiła. — Wiesz przecież, Anno, komu poświęciłam mą urodę i młodość. Jemu i jego dzieciom. Wszystko mu odśłużyłam i na służbie tej wszystko straciłam, i ma się rozumieć, że obecnie młode, pierwsze lepsze stworzenie jest mu stokroć przyjemniejsze. Na pewno nie raz rozmawiali między sobą o mnie lub co gorsze, pomijali mnie zupełnym milczeniem. Pojmujesz ty to? — W oczach Dolly znowu błysnęła nienawiść.

— I po tym wszystkim będzie mi mówił... Mam mu może wierzyć? Nigdy w życiu! Skończyło się już wszystko, co było moją pociechą, nagrodą za pracę, za cierpienia moje... Czy wierzysz mi, przed chwilą uczyłam Griszę, przedtem było to dla mnie przyjemnością, a teraz męczarnią. Po co mam pracować? Po co się trudzić? Po co mam myśleć o dzieciach? Czuję, że zmieniłam się cała i że zamiast miłości mam tylko żal, żal głęboki do niego. Ja bym go zabiła i...

— Dolly, kochana, rozumiem dobrze, nie męcz się na próżno. Do tego stopnia jesteś przybita i rozdrażniona, że na wiele rzeczy zupełnie fałszywie się zapatrujesz.

Dolly nic nie odpowiedziała i obydwie milczały parę minut.

— Pomyśl, Anno, co mam robić, pomóż mi. Myślałam już dużo nad tym i nic wymyślić nie mogę.

Anna również nie mogła nic wymyślić, lecz gorąco współczuła bratowej.

— Powiem ci tylko, że jestem jego siostrą — odezwała się Anna. — Znam jego charakter, tę łatwość, z jaką zapomina o wszystkim i z jaką potem żałuje swego błędu. On nie wierzy samemu sobie i nie rozumie teraz, jak mógł tak postąpić, jak postąpił.

— Nie, on rozumie i rozumiał! — przerwała jej Dolly. — Lecz ja... ty zapominasz o mnie... Czyż mnie to może przynieść jakąkolwiek ulgę?

— Pozwól. Przyznam ci się, że gdy on mi mówił o tym, to nie zdawałam sobie jeszcze dokładnie sprawy z twego położenia. Myślałam wtedy tylko o nim i o tym, że rodzina cała może na tym ucierpieć. Żał mi go było w istocie, lecz porozmawiawszy z tobą, ja, jako kobieta, widzę zupełnie co innego: widzę twoje cierpienie i nie mogę nie powiedzieć ci, że serdecznie żał mi cię, Dolly, moja kochana; pojmuję najzupełniej twoją boleść, nie wiem tylko, nie wiem... nie wiem, ile w głębi serca masz miłości dla niego. Powinnaś wiedzieć, że masz jej tyle, żeby mu przebaczyć. Jeśli masz, to przebacz!

— Nie — odpowiedziała Dolly, lecz Anna nie dała jej mówić i raz jeszcze pocałowała ją w rękę.

— Znam ludzi lepiej niż ty — rzekła. — Znam ludzi w rodzaju Stiwy i znam ich zapatrywania na te rzeczy. Powiadasz, że Stiwa rozmawiał z nią o tobie. To nieprawda. Ci ludzie bywają niewiernymi małżonkami, lecz ognisko domowe i żona są dla nich świętością. Pogardzają oni zawsze trochę tymi kobietami i dlatego też kobiety te nie przeszkadzają rodzinie. Mężczyźni nakreślają niedostrzegalną linię graniczną pomiędzy rodziną a nimi. Nie rozumiem tego, ale wiem, że tak jest.

— Tak, lecz on ją całował...

— Pozwól, Dolly. Widziałam Stiwę, gdy kochał się w tobie. Pamiętam te czasy, gdy przyjeżdżał do mnie i płakał, opowiadając o tobie. Byłaś wtedy dla niego czymś poetycznym i niedoścignionym. Wiem również dokładnie, że im dłużej trwało wasze pożycie, tym większą świętością stawiałaś się dla niego. Śmieliśmy się nieraz z niego, gdy co chwila powiadał: „Dolly to kobieta godna podziwu”. Ty zawsze byłaś bóstwem dla niego i wciąż nim jesteś, a to chwilowe zapomnienie...

— Lecz jeśli to zapomnienie będzie się powtarzać?

— Moim zdaniem nie powtórzy się już nigdy.

— Przypuśćmy, lecz ty, czy przebaczyłabyś?

— Nie wiem, nie mogę wydawać sądu co do tego... Nie mogę — odpowiedziała po krótkim namyśle Anna. Po chwili jednak, zważywszy na okoliczności, dodała: — A zresztą mogę, mogę, mogę. Tak, ja bym przebaczyła. Nie byłabym może dla niego taka sama jak przedtem, lecz przebaczyłabym, przebaczyłabym szczerze, jak gdyby nic nigdy przedtem nie było.

— Ma się rozumieć — przerwała jej z pośpiechem Dolly, która zdawała się wypowiadać myśl, jaka jej nie raz przychodziła do głowy. — W przeciwnym razie nie byłoby to przebaczenie. Jeżeli przebaczać, to już zupełnie. Chodźmy, zaprowadzę cię do twego pokoju — rzekła, wstając i obejmując Annę. Cieszę się bardzo, moja kochana, że przyjechałaś. Zaraz mi się znacznie łatwiej zrobiło!

XX

Cały ten dzień Anna spędziła w domu, to jest u Obłońskich, i nikogo nie przyjmowała, chociaż parę znajomych osób, które już miały czas dowiedzieć się o jej przyjeździe, chciało jej zaraz złożyć wizytę. Anna całą przedobiednią porę spędziła w towarzystwie Dolly i dzieci; posłała tylko bilet do brata, w którym prosiła, aby koniecznie na obiad przyjechał do domu. „Przyjeżdżaj, Bóg jest miłosierny!” — pisała. Obłoński był na obiedzie w domu; rozmowa przy stole toczyła się ogólna i Dolly, zwracając się do męża, mówiła mu „ty”, czego przedtem nie robiła; w stosunkach ich dawała się odczuwać pewna oziębłość, lecz nie było już mowy o rozłączaniu się, i Stiepan Arkadiewicz widział, że rozmówienie się i pogodzenie z żoną jest możliwe.

Zaraz po obiedzie przyjechała Kiti, która знаła już Annę Arkadięwnę, bardzo mało jednak i jechała teraz do siostry z pewną obawą, jak ją przyjmie ta petersburska wielkoświatowa dama, o której wszyscy odzywali się z takim uznaniem. Kiti zaraz spostrzegła, że spodobała się Annie Arkadięwnie. Anna widocznie zachwycała się jej urodą i młodością i Kiti nie zdążyła się obejrzeć, jak nie tylko uczuła się pod jej wpływem, lecz zobaczyła, że zakochała się w niej do tego stopnia, do jakiego zdolne są zakochać się młode

panny w starszych zameężnych kobietach. Anna nie wyglądała na światową damę i na matkę ośmioletniego syna. Gdyby nie poważny, chwilami smutny wyraz oczu, który tak uderzał i pociągał ku niej Kiti, ze względu na giętką kibić pełną wdzięku, na ożywienie, malujące się na jej twarzy i przebijające się to w uśmiechu, to w spojrzeniu, można by łatwiej było wziąć ją za dwudziestoletnią pannę niż za mężatkę. Kiti czuła, że Anna była zupełnie szczerą i że nic nie ukrywała, lecz czuła również, że w duszy Anny był drugi, doskonalszy świat, pełen uczuć niedostępnych dla niej, uczuć poetycznych i zagadkowych.

Po obiedzie, gdy Dolly wyszła do swego pokoju, Anna wstała od stołu i podeszła do brata, zajętego właśnie zapalaniem cygara.

— Stiwa — odezwała się, migając na niego wesoło i pokazując mu oczyma na drzwi. — Idź i niech ci Bóg dopomaga!

Stiepan Arkadiewicz zrozumiał siostrę, rzucił cygaro i wyszedł.

Po wyjściu Stiepana Arkadiewicza Anna siadła znów na kanapie, gdzie zaraz otoczyły ją dzieci. Dzieci, może dlatego, że wiedziały, że matka lubi tę ciotkę, może zaś dlatego, że instynktownie odgadywały w niej nadzwyczajną dobroć, garnęły się bardzo do Anny; dwoje starszych, a za ich przykładem i młodsze, przed obiadem jeszcze podeszło do ciotki i na chwilę nie opuszczało jej. Urządziły sobie nawet zabawę, polegającą na tym, aby siedzieć jak najbliżej ciotki, dotykać jej, trzymać jej drobną rękę, całować ją, bawić się jej pierścionkami lub przynajmniej dotykać jej ubrania.

— Siądźmy tak, jak siedzieliśmy przedtem — rzekła Anna, siadając na dawnym miejscu.

I znów Grisza wsunął główkę pod ramię ciotki i przytulił się do jej ubrania. Twarzyczka jego rozjaśniła się uśmiechem pełnym dumy i szczęścia.

— Kiedyż więc odbędzie się ten bal? — zapytała Anna Kiti.

— W przyszłym tygodniu i będzie to ładny bal, będzie to jeden z tych balów, na których zawsze bywa wesoło.

— A czy są takie, na których zawsze bywa wesoło? — zapytała Anna z lekką ironią w głosie.

— Są. U Bobryszczewów zawsze bywa wesoło, u Nikitinów również, u Mieźkowów zaś, zawsze nudno. Czy pani nie zauważyła tego?

— Nie, moja duszko, dla mnie minęły już te czasy, gdy na balach bywało mi wesoło — odpowiedziała Anna i Kiti ujrzała w jej oczach ten drugi świat, który był dla niej niedostępny.

— Dla mnie są tylko takie, na których bywa mi mniej przykro i nudno...

— Jak to może być, aby pani nudziła się na balu?

— Dlaczego ja nie mam się nudzić? — zapytała Anna.

Kiti spostrzegła, że Anna wiedziała, jaką odpowiedź otrzyma.

— Dlatego, że pani jest zawsze najładniejsza.

Twarz Anny, która rumieniła się zwykle bardzo łatwo, pokryła się rumieńcem.

— Po pierwsze: nigdy — odrzekła. — A po drugie: gdyby nawet tak było, to co mi z tego przyjdzie?

— Ale pani pojedzie na ten bal? — zapytała Kiti.

— Zapewne, trudno mi będzie odmówić. Masz, weź to sobie — rzekła do Tani, która ściągała jej z białego, cienkiego na końcu palca, luźno siedzący pierścionek.

— Będę bardzo rada, jak pani pojedzie, gdyż chciałabym bardzo widzieć panią na balu.

— Gdy już wypadnie mi koniecznie być na tym balu, pocieszać się będę tą myślą, że robię pani przyjemność.

— Grisza, mój kochany, nie targaj mnie, one i tak już są potargane — zawołała na malca, poprawiając pukiel włosów, którym bawił się Grisza.

— Wyobrażam sobie panią na balu w liliowej sukni...

— Dlaczego koniecznie w liliowej? — z uśmiechem zapytała Anna. — No, dzieci, idźcie już sobie. Czy słyszycie? Miss Hull woła was na herbatę — odezwała się, odsuwając od siebie dzieci i polecając im iść do jadalnego pokoju. — A ja wiem, dlaczego pani życzy sobie, abym była na balu. Liczy pani wiele na ten bal i dlatego marzeniem pani jest, aby wszyscy byli na nim i przyjmowali udział w jej szczęściu.

— Skąd pani wie o tym? Doprawdy tak jest!

— Jak to dobrze być w wieku pani — mówiła dalej Anna. — Pamiętam i znam tę błękitną mgłę w rodzaju tej, która okrywa szczyty gór w Szwajcarii. Mgła, która pokrywa wszystko w tym najszczęśliwszym okresie, w ciągu którego kończą się dni dzieciństwa, i to ogromne koło pełne wesela i szczęścia przemienia się w coraz to węższą i węższą drózkę. W amfiladę tę wkracza się zarazem wesoło i z obawą, choć wydaje się i promienista, i wspinała... Któż przez to nie przechodził?

Kiti słuchała w milczeniu, uśmiechając się. „W jakiż sposób ona przeszła przez to? Chciałabym wiedzieć coś o jej zakochaniu się” — pomyślała, przypominając sobie niezbyt poetyczną postać Aleksieja Aleksandrowicza, męża Anny.

— Wiem już trochę. Stiwa mi mówił i winszuję pani. Mnie on się podobał bardzo — mówiła dalej Anna. — Spotkałam się z Wrońskim na kolei.

— Tak? To on był na dworcu? — zapytała Kiti, rumieniąc się. — Cóż Stiwa mówił pani?

— Stiwa wygadał przede mną wszystko. I ja byłabym bardzo rada... Wczoraj jechałam z matką Wrońskiego. Hrabina przez całą drogę opowiadała mi o nim... Jest on jej faworytem. Wiem, że matki bywają stronne, lecz...

— Cóż matka jego opowiadała pani?

— Bardzo wiele! Wiem, że kocha go bardzo, w każdym razie jednak widać po nim, że ma w sobie coś rycerskiego... Opowiadała mi na przykład, że chciał oddać cały swój majątek bratu, że w dzieciństwie jeszcze odznaczył się czymś nadzwyczajnym, zdaje się, że wyratował z wody jakąś kobietę. Jednym słowem, bohater — rzekła Anna, uśmiechając się i przypominając sobie o tych dwustu rublach, które Wroński dał na stacji.

Anna jednak nie opowiedziała o tych dwustu rublach, gdyż sama sobie nie zdawała sprawy, dlaczego wspomnienie o tej ofierze jest dla niej nieprzyjemne. Domyślała się, że w tym było coś, co dotyczyło jej i co nie powinno było mieć miejsca.

— Hrabina prosiła mnie bardzo, abym u niej była — mówiła Anna. — Zrobię to z przyjemnością i jutro zaraz pojadę do niej. Dzięki Bogu Stiwa dość długo bawi w gabinecie u Dolly — dodała po chwili, zmieniając przedmiot rozmowy, i podniosła się z kanapy.

Kiti zdawało się, że Anna jest z czegoś niezadowolona.

— Ja pierwszy! Ja! Ja! — wołały dzieci, przybiegając znów po wypiciu herbaty do ciotki.

— Wszystkie razem! — zawołała Anna, śmiejąc się i podbiegając ku nim, po czym objęła je rękoma i przewróciła na kanapę całą kupkę zabawionych i zachwyconych dzieci.

XXI

Gdy podano kolację, Dolly wyszła do swego pokoju.

Stiepan Arkadiewicz nie zjawił się. Musiał widocznie wyjść z pokoju żony bocznymi drzwiami.

— Lękam się, czy ci nie będzie zimno na górze — odezwała się Dolly do Anny. — Chciałabym przenieść cię na dół, będziemy bliżej siebie.

— Nie troszcz się o mnie, moja kochana — odrzekła Anna, spoglądając bacznie na Dolly i chcąc zmiarkować, czy pojednanie nastąpiło, czy też nie.

— Na dole będziesz miała znacznie jaśniejszy pokój...

— Powiadam ci, że zawsze i wszędzie sypiam jak suseł.

— O co wam chodzi? — zapytał Stiepan Arkadiewicz, wychodząc z gabinetu i zwracając się ku żonie.

Anna i Kiti z głosu Stiepana Arkadiewicza domyśliły się, że pojednanie miało miejsce.

— Chciałabym Annę przenieść tutaj, na dół, lecz trzeba przedtem zawiesić firanki. Nikt zrobić tego nie potrafi i będę musiała sama wziąć się do tego — odpowiedziała Dolly mężowi.

„Bóg jeden wie, czy pogodzili się już zupełnie” — pomyślała Anna, usłyszawszy ostry i spokojny głos bratowej.

— Daj spokój, Dolly, zawsze wyszukujesz jakieś trudności — odparł mąż. — Chcesz, to ja wszystko zrobię...

„Zapewne pogodzili się” — pomyślała Anna.

— Już ja wiem, jak ty wszystko zrobisz — dowodziła Dolly. — Każesz Matwiejowi, żeby zrobił to, co nie da się zrobić w żaden sposób, a sam wyjdiesz i on wszystko robi jak najgorzej. — I na ustach Dolly zawisł ironiczny uśmiech, z jakim zwykle przemawiała do męża.

„Pogodzili się zupełnie, najzupełniej” — zdecydowała ostatecznie Anna. „I Bogu dzięki”. I uradowana, że małżonkowie pogodzili się za jej przyczyną, podeszła do Dolly i ucałowała ją.

— Przepraszam cię bardzo, ale czemu tak pogardzasz mną i Matwiejem? — zapytał żony Stiepan Arkadiewicz, uśmiechając się trochę.

Dolly jak zwykle odzywała się do męża przez cały wieczór z lekką ironią, Stiepan Arkadiewicz zaś był w wesołym i dobrym humorze, lecz nie w takim, by mniemać można było, że otrzymawszy przed chwilą przebaczenie od żony, zapomniał już o swej winie.

Około dziesiątej wesoła rozmowa, toczona w rodzinnym kółku Obłóńskich, przerywana została blahym na pozór wypadkiem, który jednakże wszystkim wydał się nader dziwny. Podczas rozmowy o wspólnych petersburskich znajomych Anna prędko się podniosła.

— Mam jej fotografię w albumie — odezwała się. — A przy sposobności pokażę wam też mego Sieriożę — dodała z uśmiechem pełnym macierzyńskiej dumy.

Otóż koło dziesiątej, gdy zwykle mówiła dobranoc synowi i najczęściej sama kładła go do łóżeczka, zanim wyjechała na bal lub do teatru, Annie zrobiło się przykro, że jest tak daleko od niego, i myślą, mimo woli, była przy swym kędzierzawym jedynaku. I nagle ogarnęła ją chęć spojrzeć na jego fotografię i porozmawiać o nim. Skorzystała więc z pierwszego lepszego pozoru, wstała i swym lekkim krokiem poszła po album. Schody, prowadzące na górę do pokoju Anny, wychodziły na przedpokój, ogrzewany równie jak i frontowe schody.

W chwili gdy Anna Arkadiewna wychodziła, w przedpokoju dał się słyszeć dzwonek.

— Któż to taki? — zapytała Dolly.

— Po mnie jeszcze za wcześniej, a na wizytę już za późno — zauważyła Kiti.

— Zapewne z papierosami do mnie — dodał Stiepan Arkadiewicz.

Gdy Anna przechodziła koło schodów, lokaj wbiegał na nie, by zameldować gościa, który stał w sieni pod samą lampą. Anna, spojrzawszy na dół, poznała od razu Wrońskiego i doznała uczucia pewnego zadowolenia, lecz zarazem i przestachu. Wroński stał w paltocie i wyjmował coś z kieszeni. W chwili gdy Anna przechodziła, podniósł oczy, zobaczył ją; po twarzy jego znać było, że zawstydyził i przeląkł się. Anna skinęła mu z lekka głową i znikła we drzwiach; zaraz potem dał się słyszeć donośny głos Stiepana Arkadiewicza, który zapraszał gościa na górę, i cichą, spokojną odpowiedź wymawiającego się od wejścia Wrońskiego.

Gdy Anna powróciła z albumem, Wrońskiego już nie było i Stiepan Arkadiewicz opowiadał, że hrabia zachodził, aby rozmówić się z nim o obiedzie, mającym odbyć się jutro na cześć przyjezdnej znakomitości.

— Za nic w świecie nie chciał wejść i w ogóle zachowywał się jakoś dziwnie — dodał, kończąc opowiadać, Stiepan Arkadiewicz.

Kiti zarumieniła się, gdyż zdawało się jej, że tylko ona jedna wie, po co Wroński przyjeżdżał i dlaczego nie wszedł na górę. „Był u nas” — pomyślała — „nie zastał mnie i domyślił się, że jestem tutaj, lecz nie wszedł, gdyż uważał, że już jest za późno, a zresztą krępował się obecnością Anny”.

Wszyscy zamienili się spojrzeniami, nie mówiąc już nic o całym tym zdarzeniu, i zaczęli oglądać album Anny.

Nie było nic nadzwyczajnego ani dziwnego, że przyjaciel zaszedł do przyjaciela o wpół do dziesiątej wieczorem dowiedzieć się o szczegóły zamierzanego obiadu i że nie chciał wejść, pomimo to całe towarzystwo zadziwiło się bardzo; Anna najbardziej była zdumiona, bo odwiedziny Wrońskiego wydały się jej niewłaściwe.

XXII

Bal rozpoczął się właśnie, gdy Kiti weszła z matką na wielkie schody, zalane potokami światła, obstawione kwiatami i upudrowanymi lokajami w czerwonych liberiach.

Z salonów aż na schody wybiegał jednostajny gwar, jak w ulu, i gdy Kiti i księżna poprawiały sobie przed lustrem, ukrytym między krzewami, toalety i uczesanie, z balowej sali dały się słyszeć wyraźne dźwięki skrzypiec orkiestry, rozpoczynającej pierwszego walca. Jakiś staruszek ubrany po cywilnemu, który przed drugim lustrem rozczesywał sobie baczki i od którego czuć było perfumy, zetknął się z nimi na schodach i widocznie zachwycając się Kiti, usunął się przed nimi na bok. Jakiś młodzieniec bez zarostu, jeden z tych, których stary książę Szczerbacki nazywał *tiut’kami*, w nadzwyczaj wyciętej kamizelce, poprawiając na sobie biały krawat, uklonił się im i minąwszy je, powrócił, zapraszając Kiti do kontredansa. Kiti przyrzekła już pierwszego kontredansa Wrońskiemu, musiała więc obiecać drugiego młodemu człowiekowi. Nieznajomy im oficer, zapinając rękawiczki, przepuścił je we drzwiach i gładząc wąsa, podziwiał urodę różowej Kiti.

Pomimo że toaleta, uczesanie i wszystkie przygotowania do balu zajęły Kiti dużo czasu i namysłu, to wchodziła teraz na bal w swej różowej sukience na jedwabnej podszewce z taką swobodą, jak gdyby wszystkie te kokardki, koronki i inne szczegóły toalety nie wymagały ani od niej, ani od nikogo żadnego nakładu pracy i jak gdyby przyszła na świat w tym tiulu, koronkach, z włosami wysoko uczesanymi i z wetkniętą w nie różą z dwoma listkami.

Gdy stara księżna przed wejściem na salę chciała poprawić wstążkę, którą córka była przepasana, Kiti odsunęła się od matki, gdyż wiedziała, że wszystko samo przez się powinno dobrze leżeć i wydawać się na niej i że nie trzeba nic poprawiać.

Kiti była w jednym ze swych szczęśliwych dni: ubranie nie uciskało, koronki nigdzie nie poobrywały się, kokardki nie pomięły i nie poodpruwały się, różowe pantofelki na wysokich, wygiętych obcasach nie cisnęły, a pieściły nóżkę. Gęste loczki jasnych włosów nie potargały się na małej główce. Wszystkie trzy guziki na długich rękawiczkach, w niczym nie zmieniających kształtów jej ręki, pozapinały się i żaden się nie oberwał. Czarna aksamitka z medalionem pieśczośliwie obejmowała jej szyję. W aksamitce tej było Kiti bardzo do twarzy i Kiti w domu jeszcze, stojąc przed lustrem, wiedziała, że aksamitka ta przemawia. Co do innych szczegółów toalety, mogły istnieć pewne wątpliwości, co zaś do aksamitki, stanowczo nie. Kiti uśmiechnęła się i na balu, spojrzawszy w lustro na swą aksamitkę. Na obnażonych plecach i rękach Kiti czuła chłód marmuru, wrażenie to nadzwyczaj lubiła. Oczy jej błyszczały i rumiane usta nie mogły powstrzymać uśmiechu z poczucia swej siły przyciągającej. Kiti nie zdążyła jeszcze wejść na salę i dojść do tiulowo-wstążkowo-koronkowo-różnokolorowego tłumu dam oczekujących na zaproszenie do tańca (Kiti nie stawała nigdy w tym tłumie), gdy została już zaproszona do walca, i to w dodatku przez najlepszego tancerza, zajmującego pierwszorzędne stanowisko w balowej hierarchii, znakomitego wodzireja, mistrza ceremonii, żonatego, pięknego i postawnego mężczyznę, Jegoruszkę Korsuńskiego. Przetkańczywszy pierwszego walca z hrabiną Boniną i przyglądając się swym podwładnym, to jest paru tańczącym parom, Korsuński spostrzegł wchodzącą Kiti, podbiegł ku niej tym specjalnym, właściwym tylko wodzirejom, krokiem i ukloniwszy się, nie zapraszając nawet, wyciągnął rękę, żeby ją objąć. Kiti obejrzała się, kto weźmie jej wachlarz, gospodyni domu, uśmiechnąwszy się, wzięła go z rąk Kiti.

— Jak to dobrze, żeście panie przyjechały wcześniej — rzekł Korsuński, obejmując jej stan. — Bo co to za moda spóźniać się!

Kiti położyła lewą rękę na ramieniu Korsuńskiego i małe jej nóżki w różowych trzewiczkach prędko, lekko i równomiernie zaczęły poruszać się po śliskiej posadzce w takt muzyki.

— Odpoczywam, zaiste, tańcząc z panią — odezwał się Korsuński, zaczynając tańczyć. — Zachwyca mnie lekkość tańca pani i jego *précision* — prawil jej komplementy, jakie powtarzał wszystkim prawie znajomym paniom.

Kiti uśmiechnęła się, usłyszawszy tę pochwałę, i przez ramię jego przypatrywała się sali. Przestała już należeć do panien zaczynających dopiero bywać, dla których wszystko, co widzą, zlewa się w jedno czarujące wrażenie, nie należała jeszcze również do panien dawno już i często bywających na balach, którym te bale i spotykane na nich znajome twarze zaczęły się już przykrzyć. Kiti zajmowała stanowisko pośrednie: była podniecona, lecz zarazem panowała nad sobą o tyle, że mogła obserwować. W lewym rogu salonu spostrzegła zebraną całą śmietankę towarzystwa. Była tam niemożliwie wydekoltowana, słynna z urody Lidi, żona Korsuńskiego, była tam również gospodyni domu, jaśniał tam swą łysiną Kriwin, który zawsze musiał być tam, gdzie zbierało się doborowe towarzystwo. Młodzież spoglądała na ten róg, nie śmiąc podejść bliżej. Kiti odnalazła tam oczyma Stiwę, a potem dojrzała wprowadzającą ją w zachwyt postać i głowę Anny w czarnym aksamitnym ubraniu. On również tam się znajdował. Kiti po raz ostatni widziała go we czwartek wieczorem, gdy odrzuciła oświadczyzny Lewina. Spostrzegła go w jednej chwili swymi bystrzymi oczyma i zauważyła nawet, że Wroński przypatruje się jej.

— Może przetańczymy jeszcze jedną turę? Czy pani nie bardzo znużona? — zapytał Korsuński, czując się trochę znużony.

— Nie, dziękuję panu bardzo!

— Dokąd każe mi się pani odprowadzić?

— Zdaje się, że i Karenina jest tutaj... Niech mnie pan będzie łaskaw odprowadzić do niej.

— Służę pani.

I Korsuński skierował się w tempie walca wprost ku towarzystwu zajmującemu lewy róg sali, powtarzając co chwila: *pardon, mesdames, pardon, pardon mesdames* i lawirując po morzu koronek, tiulu i wstążek tak zręcznie, że nie potrafił nikogo i o nic nie zawadzić, okręcił z taką siłą swą damę, że dały się widzieć jej cienkie nóżki w ażurowych pończoszках, a tren rozwiął się